

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 46 (1782) • 15-21 listopada 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



**Rudy na wojnie
z czerwonym**

str. 4-5

Bestia z Kutna

str. 10-11

**ASY
TUSKA**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

◆ Trochę się wydarzyło. Najpierw Donald Trump wygrał wybory, co skłoniło polityków obecnej władzy do radykalnej zmiany spojrzenia. O ile jeszcze we wtorek po południu wielbili Kamalę Harris, to już w środę rano stali się zdecydowanie bardziej neutralnie proamerykańscy. USA są wszak naszym najważniejszym sojusznikiem i będziemy współpracować z każdym prezydentem, którego Amerykanie sobie wybrali. Czy on będzie chciał współpracować z nami, pozostaje kwestią otwartą – ale, uczciwie trzeba przyznać, że Trump ma nas w dupie niezależnie od tego, jak bardzo się przed nim płaszczymy. Co skądinąd odnosi się także do innych administracji USA.

◆ Obóz władzy minionej triumfował, jakby naprawdę wierzył, że Trump każe Polakom wybrać Czarnka na prezydenta. Ewentualnie Dominika Tarczyńskiego, który zawiózł do Ameryki teczkę pełną donosów na polski rząd: kto i co źle mówił o prezydencie elekcje. Co, biorąc pod uwagę całokształt osobowości posta Tarczyńskiego, prawdopodobnie wyglądało tak: *Prose pana, prose pana, a Donald powiedział... Uradował nas też ekspremier Morawiecki, który ogłosił z jasnym czołem, że Donald Trump był tym prezydentem, który był najbardziej antyrosyjski od czasów Ronalda Reagana, bo rugał Niemcy za to, że płacą za rosyjski gaz. Albowiem wołał, żeby płacili za amerykański, panie premierze. Jeszcze jaśniejszym światłem zabłysnął minister Błaszczak, który ogłosił, iż po wygranej Trumpa Tusk powinien podać się do dymisji; mało tego, natychmiast powinien się zmienić rząd w Warszawie. Wprost trudno nam znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyrazić dumę z dojrzałości i intelektualnej niezależności całej naszej klasy politycznej.*

◆ A skoro już jesteśmy przy PiS i jego kandydatach na główkę państwa: poza wspomnianymi wyżej osobistościami powraca także nazwisko szefa IPN Karola Nawrockiego, który deklaruje skromnie, że *jest zawsze gotowy, żeby służyć Polsce*. Poza skromnością p. Nawrockiego zdobi fakt, że nikt go nie zna, więc nie zdążył zbyt wielu ludzi wkurwić – z wyjątkiem środowiska profesjonalnych historyków, ale ilu ich jest? Do kompletu – jak donosi tygodnik „Do Rzeczy” – *w ostatnich dniach na Nowogrodzkiej pojawiła się koncepcja zakładająca możliwość wystawienia Daniela Obajtki*. Pytanie za 30 mln zł: kto ma więcej kasy, Morawiecki czy Obajtek? Bo wiele wskazuje na to, że kandydat PiS będzie musiał sobie sam zafundować kampanię.

◆ Po stronie PO o nominację na kandydata – pod dywanem i w aksamitnych rękawiczkach – walczy Rafał Trzaskowski z Radkiem Sikorskim. Trzaskowski dyskretnie maskuje swoje wkurwienie: zarządzane przez Donalda Tuska prawyборы pokazują otóż, że *Platforma Obywatelska, Koalicja Obywatelska jest partią demokratyczną, że nie tylko w nazwie, ale w rzeczywistości jesteśmy demokratyczni i nawet jeżeli ktoś, wydawało się, że był kandydatem od lat wyznaczonym... Sikorski odpowiada: Uważam, że Rafał był dobrym naszym kandydatem w 2020, gdy rządził PiS i szło o praworządność, ale dzisiaj sytuacja się zmieniła, dzisiaj chodzi o bezpieczeństwo, a tu ja mam mocne papiery. Ale Rafał Trzaskowski jest młody... Rafał Trzaskowski ma 52 lata, do kurwy nędzy. Gdzie te czasy, kiedy po 35. roku życia wywalali ze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej?*

◆ 11 listopada ulicami Warszawy przeszło 90, a może 350 tys. osób. Marsz Niepodległości, zdaniem organizatorów, był wielki jak jeszcze nigdy – a zdaniem zwolenników obecnej władzy całkiem mikry. Nas szczególnie ujęło sprawozdanie w Tefalenie. Dowiedzieliśmy się otóż, że policja zatrzymała 212 rac, 440 petard, 201 flar, 22 stroboskopy i dwie wyrzutnie oraz – uwaga, cytujemy dosłownie – *jeżeli chodzi o flagi, również tych środowisk prawicowych, jeżeli chodzi o organizację White Boys, albo nawet, no, związaną przecież, powiązaną z całym systemem totalitarnym, czyli z komunizmem, jeszcze flagę Związku Radzieckiego. Zostawmy to. A my akurat byłibyśmy za tym, żeby nie zostawiać. Bo dlaczego na organizowanym przez prawaków marszu znalazła się flaga organizacji rasistowskiej z hasłem „Biali chłopcy, duma Północy”, to szczególnie nas nie zastanawia – z glupoty. Ale jeśli ktoś zadał sobie trud, żeby zdobyć i przywieźć flagę ZSRR – to może chodziło o jakąś prowokację, za którą odpowiedzialność miała spaść na „radykalną lewicę”? Czy ktoś to może sprawdził? Tak pytamy...*

◆ W Redzikowie oficjalnie otwarta została amerykańska baza tarczy antyrakietowej. Zachwyotom nie było końca – i wyrażali je przedstawiciele obu obozów. *Cały świat będzie widział jasno i wyraźnie, że to nie jest już rosyjska strefa wpływów* – orzekł prezydent Duda, co skłania nas do raczej ponurej refleksji na temat ostatnich 35 lat niepodległej Rzeczypospolitej. Jak mogliśmy uważać się za niezależny kraj bez jankeskich radarów? Duda dorzucił też złoty cytat z dyskusji ze świętej pamięci bratem prezesa: amerykańskie rakiety nie są tu po to, żeby bronić Polski, ale *to będzie amerykańska baza rakietowa, w której będą amerykańskie tajemnice wojskowe, w której będą jedne z największych sekretów Stanów Zjednoczonych i której Stany Zjednoczone będą strzegły*. Zaryzykujemy stwierdzenie, że ani dr Duda, ani jego świętej pamięci patron prawnie profesor nie znają sensu pojęcia „klientelizm”.

◆ Żeby nie było, że tylko Duda odleciał w kierunku radaru – garść złotych myśli od ministra obrony narodowej: baza w Redzikowie jest to *wieczna obecność wojsk amerykańskich, wojsk sojuszniczych na terytorium Rzeczypospolitej*. Nieśmiało przypominamy panu wicepremierowi, że według jego światopoglądu tylko Bóg jest wieczny, reszta – w tym amerykańskie rakiety – to *vanitas vanitatum*. Dowód na marność pamięci minister obrony wykazał zresztą w następnym zdaniu: *Przez te wszystkie lata Polska odpowiadała na wezwanie Stanów Zjednoczonych do pełnienia misji na całym świecie, w Iraku, Afganistanie; misji noszących pokój i bezpieczeństwo*. Tygrys, a widziałeś ten pokój w Iraku? Że już nie wspomniemy o bezpieczeństwie w Afganistanie?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2012 r.

Świętego Oliviera

Kardynał Stefan Wyszyński stracił jedno zero. W katolickim tygodniku „Niedziela” zawsze o nim pisało *Prymas 1000-lecia*, a ostatnio patrzeć: *Prymas z ubiegłego 100-lecia*.

Świętego Joela

Nadeszła była radosna wiadomość, że za górami, za lasami można jeszcze odnaleźć dwoje czytelników „NIE”. Wyprawiliśmy się z Daniszewską na kraniec Polski do Jarkowa koło Karpacza, gdzie na wyżynie Sudetów państwo Anna i Mirosław L. (brak zezwolenia na obracanie danymi osobowymi) prowadzą firmę Eko-Aronia. Przyjęto nas tam całusiennie, czyli bez zwyczajowego obrzydzenia. Aronia jest to rodzaj czarnej jagody, która występuje w postaci owoców kandyzowanych, czekoladek, nalewek, syropów, wina, napojów chłodzących, soku jabłkowego. W każdej postaci uzdrowia. W firmie jest też muzeum pięknych aniołków z deseczek, drewna, metalu, porcelany i innych. Ku pamięci tych, których aronia nie uleczyła. Aniołki odlatują do europejskiego rajku, czyli do Niemiec, wypierając krasnale ogrodowe, których niedobitki mieszkają teraz w gettach. Aronia w każdej postaci leczy raka, cukrzycę, choroby serca, degenerację naczyń, likwiduje cholesterol, zbawienna jest na pęcherz, złamane kości, gościę, choroby oczu, depresję, epilepsję, opryszczkę i dżumę. Ja mam hemoroidy, ale sobie wciskam, może pomoże.

Świętego Donalda

Przy okazji opisanej wyprawy postanowiłem obejrzeć wreszcie

przyrodę, o której tyle dobrego pisze Wajrak w „Gazecie Wyborczej”. W tym celu wysiadłem nawet z samochodu. Na skraju lasu czał się na mnie jadłowity motyl. Szczęście nie zaatakował. W głębi wszystko, co rośnie, kluje, chrzęści, zachodzi drogę, a co biega lub fruwa, to kasa. Natura jest wybitnie przereklamowana. W środku lasu wyrósł nudziarz i zaczął nudzić, że pracował w Polskiej Żegludzie Morskiej oraz jak i gdzie z kim i z czym mu się pływało. *Musiał pan znać naszego dyrektora Kligera, panie ministrze!* W socjalizmie była wolność i niczego nie musiałem.

Poczęstowałem nudziarza papierosem, a kiedy zapalał, uciekłem. Był to papieros marki Davidoff. Na awersie ma napis *Palenia zabija*, a na rewersie, że powoduje impotencję. Po co trupowi potencja, objaśnić może tylko prof. Starowicz.

Świętej Szarloty

Przed Hotelem Art we Wrocławiu rząd limuzyn BMW z greckimi poroścami. Pilnowali ich nieobcy mi borowcy w czarnych garniturach. Myślałem, że prezydent Grecji uciekł ze swojego kraju w lęku, że się na niego zawali. Okazało się, że to greccy śpiewacy. Sądziłem mylnie, że cienko teraz śpiewają. Ochrona – objaśniono mnie – pilnuje instrumentów. To znaczy gardel śpiewaków? Czy też przygrywają sobie na Stradivariusach? Tak człowiek, bawiąc w tym Breslau, zniemczał, że go irytuje grecka wystawność.

Świętego Fryderyka

Czytam wydaną przez PWN książkę Toma Segeva „Siódmy

milion” o curesach Izraela. Wciągnięty przez nią w żydowskie tematy, z ciekawością zażyłem artykułu Anny Bikont w „Wyborczej” o Jedwabnem i wokół tego żydowskiego kurortu, a w artykule cytat z terazniejszego wydawnictwa kombatanatów. Bikont przytacza notkę o bohaterskiej walce pewnego akowca z okupantem zakończoną zdaniem, że komuniści skazali go na 10 lat gnicia w więzieniu. Bikont wtrąca, że był to wyrok za udział w mordowaniu Żydów i za skatowanie katoliczki, która ośmieliła się im pomagać. O czym nie wspomniano. To bardzo typowe. Nie dlatego, że AK jako taka zajmowała się mordowaniem Żydów, tylko że antykomunistyczne kombatanctwo wszystko rozgrzesza. Kłamie się dziś, że sądy za komunę wsadzały zawsze niewiniątka.

AK jako organizacja nie mordowała Żydów, tylko to nie była dla tych patriotów w ogóle ważna sprawa. W AK były, jak wszędzie, czarne owce. Tylko, niestety, zbijały się one w całkiem pokaźne leśne stada.

Komenda Główna AK nie każała mordować Żydów. Nawet stworzyła, choć późnawo, specjalny wydział pomocy Żydom. Nazywał się Żegota. W tej placówce do spraw człowieczeństwa działał Władysław Bartoszewski. Ponieważ Bartoszewski szybko sepleni, na Żegotę mówi „zygota”. I to jest właśnie powód, dla którego Kościół katolicki nadał zygocie człowieczeństwo.

W książce Segeva znajduję przykłady tego, jak Izraelczycy zręcznie klócą się ze sobą w parlamencie. Debata w początku lat 50. doty-

czyła tego, czy brać od Niemiec pieniądze jako odszkodowanie za wymordowanie sześciu milionów Żydów, obrabowanie ich, wypędzenie, pozbawienie zdrowia itp. Premier Ben Gurion proponował brać, mówiąc: *Czy nasi mordercy mają być też naszymi spadkobiercami?* Na to poseł opozycji: *A kiedy skończy się czas płacenia przez Niemcy tych pieniędzy, skąd weźmiemy kolejne sześć milionów Żydów na dalsze wypłaty?*

Świętego Arsena

Mistrzyni wszech czasów w dyplomacji, Talleyrand PiS-u, była minister Anna Fotyga pisemnie zwróciła uwagę władz, że *wizyta patriarchy (rosyjskiego Cyryla – przyp. J.U.) rozpoczyna się nazajutrz po rocznicy Bitwy Warszawskiej, kilka tygodni przed 400. rocznicą przegranej przez polskie wojska pod wodzą Jana Karola Chodkiewicza bitwy pod Moskwą i świętowanego hucznie w Rosji od roku 2005 „przepędzenia Polaków z Kremla”*. W ten sposób *Rosjanie chcą pokazać Polakom swoją siłę*.

Może Fotyga wskazałaby raczej jakieś niedrażliwe dni wjazdu do Polski dla cudzoziemców. Sierpień bym wykluczył, gdyż poprzedza wrzesień, na który przypada rocznica wielkiego zwycięstwa malarza Hitlera nad malarzem Rydzem-Śmigłym. Malarz Hitler miał więcej siły artystycznej od pacykarza Rydza.

Fotyge należy zastrzelić, wypchać i postawić w Muzeum Narodowym. Przekazać jej do towarzystwa mojego psa Azora, też po zdechnięciu godnego wypchania jako najgłupszy pudel świata.

□

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Andrzej Duda** stracił paznokcie i opuszkę środkowego palca. Przynajmniej prezydent Trump ma dobrze wymasowaną prostatę.
- **Donald Tusk** opublikował zdjęcia, z których wynika, że jest niższy od najstarszego wnuka. O ile najniższa z wnuczek Tuska nie ma na imię Inflation, to tego newsa należy olać.
- **Janusz Piechociński** poinformował, że ilość stad świni jest najniższa w historii. Widać dawno nie było żadnej premiery filmu Holland.
- Nowym zespołem ds. depenalizacji marihuany pokierują **Ryszard Petru** i **Klaudia Jachira**. Miejmy nadzieję, że posłowie palą się do roboty.
- Jak informuje **Radio Maryja**, w Mielcu pierwszy kadłub F-16 został skutecznie zintegrowany z całym odrzutowcem. Gdyby integracja się nie powiodła, samolot mógłby dumnie nosić imię Wincentego Kadłubka.
- **Jarosław Kaczyński** nazwał freak fighty czystą patologią. Taka tam polecajka od Prezesa z końców internetów.

MARTA M.

MY PRYMITYWNI?...
TO CO POWIEDZĄ O PISIE?



RYŚ: TOMASZ WĄTER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Szanowna Redakcjo!

Świetnie, że po przeniesieniu się Jerzego Urbana do rzeczywistości cyfrowej i po początkowych zawirowaniach w redakcji, wyklarowaniu się „co dalej”, to Wołk-laniewska pisze i rządzi w „NIE”.

Ostatnia strona, obok pierwszych dwóch, to powód, że znowu was kupuję.

Redakcyjny związek Pani z J. Senyszyn to strzał w dziesiątkę. Skrzy się inteligentnymi, dowcipnymi i niegłupimi dialogami. Strona, którą kiedyś obojętnie mijałem, teraz jest dla mnie otwarciem numeru.

I... nigdy bym się nie spodziewał po J. Senyszyn, że może być tak dobra. Ta oglądana (słuchana) w dawnej TV i ta w rozmowie Dam są jak *nie* i *tak*.

I tu się, za pozwoleniem, wtrącę się do waszego dialogu.

Rzeczywistość jest bardziej przewrotna, niż się wydaje.

Ten okropny, jako człowiek, Trump może być lepszym wyborem politycznym (niekoniecznie dla Ameryki) od Harris.

Obama, Rishi Sunak obciążeni pochodzeniem zawiadli, bo ponad wszystko starali się nie zaliczyć poważniejszych wpadek. Harris ma ten sam problem.

Zdroworoządkowa, kupiecka mentalność Trumpa może dać światu lepszą perspektywę niż poprawna nijakość Harris, podatna na manipulację.

Zrobiło się zbyt poważnie. Pozdrawiam i żniem.

JERZY

Redakcjo!

Po słowach, że „wszystko co dobre jest przed nami”, Kosiniak razem z Kamyszem powinni skończyć z dowolnego mostu!

Twierdzenie urzędującego wicepremiera i ministra obrony, że czas jego rządów nie jest dobry, więc marny, to nie bezmyślność. To przekonanie dzielone z PiS-em!!!

Szef kanapowej partycji z poparciem poniżej 2 proc. daje do zrozumienia, że ma za nic koalicję, demokrację, Tuska i wyborców, bo „dobre” jest przed nim w ramionach Kaczyńskiego!

PIOTR

Specjaliści od rozwiązywania wywołanych przez siebie problemów

Lewica rządzi!

Po 18 latach Lewica wraca do współrządzenia – radował się Włodzimierz Czarzasty 15 października 2023 r. Współrządzenie oznaczało wprowadzenie do gabinetu Tuska swoich ludzi. Tych, którzy swoimi talentami, pracowitością, mądrością, kompetencją i determinacją mieli udowodniać, że głosowanie na Lewicę było ze wszech miar słuszne. I to na tyle, żeby w kolejnych wyborach zagłosować na nią jeszcze bardziej.

Sztuczny inteligent

Wicepremierem został doktor nauk humanistycznych Krzysztof Gawkowski. Już na początku dał się poznać jako fachowiec od zwalczania cyberprzestępczości. W radiu był pytany o numer telefonu 8080, na który – według niego – można wysłać wiadomość, jeśli otrzyma się link z podejrzaną wiadomością. Nie bardzo: numer przeznaczony był do wysyłania nie maili, ale esemesów.

Następnego dnia w innym radiu wyjaśnił, że *pomyłki każdemu się zdarzają* i że jak się dostanie maila od naciągaczy, to przecież można zadzwonić do CERT-u. Przez kolejne dni media darły z Gawkowskiego łacha, że nie wie, że CERT to skrót od Computer Emergency Response Team, czyli zespół reagowania na incydenty komputerowe. Od czasu tych wywiadów minęło wiele miesięcy, a CERT nie został podporządkowany ani policji internetowej, ani nikomu z prokuratury. Można więc sobie na niego pisać do woli.

Doktor nauk humanistycznych Gawkowski dał się też poznać jako wybitny erudyta. Komentując decyzję Andrzeja Dudy w sprawie odesłania budżetu do Trybunału Przyłębskiej, stwierdził: *prezydent poprzez podpis i skierowanie ustawy do TK jest jak Judasz*. Dopytywany o to przez kolejne dni rozwinął skrzydła swojej retoryki: *Patrzę na prezydenta Andrzeja Dudę jako jedną i drugą postać, w całość mi się zlewają – Judasz i Pilat. Nie przesadzam*.

W czerwcu minister cyfryzacji zaliczył kolejną wtopę: ogłosił, że jego resort pracuje nad projektem „Cybertarcza RP”. No i fajnie, tyle że okazało się, że „Cybertarcza” to nazwa chronionej prawnie usługi Orange. Ale na to, żeby sprawdzić to w internecie, żaden ministerialny spec od cyfryzacji nie wpadł.

O największej wpadce Gawkowskiego, przed której skutkami uratował jego i polskich podatników tylko łut szczęścia, już wspominaliśmy na łamach „NIE”. W połowie września wicepremier

ubolewał, że Intel nie zbuduje w Polsce swojej fabryki procesorów, na której sfiansowanie Gawkowski dostał nawet zgodę Brukseli. Intel miał postawić u nas swoje hale za 20 mld zł, z których Polska pomoc publiczna miała wynieść 7,4 mld.

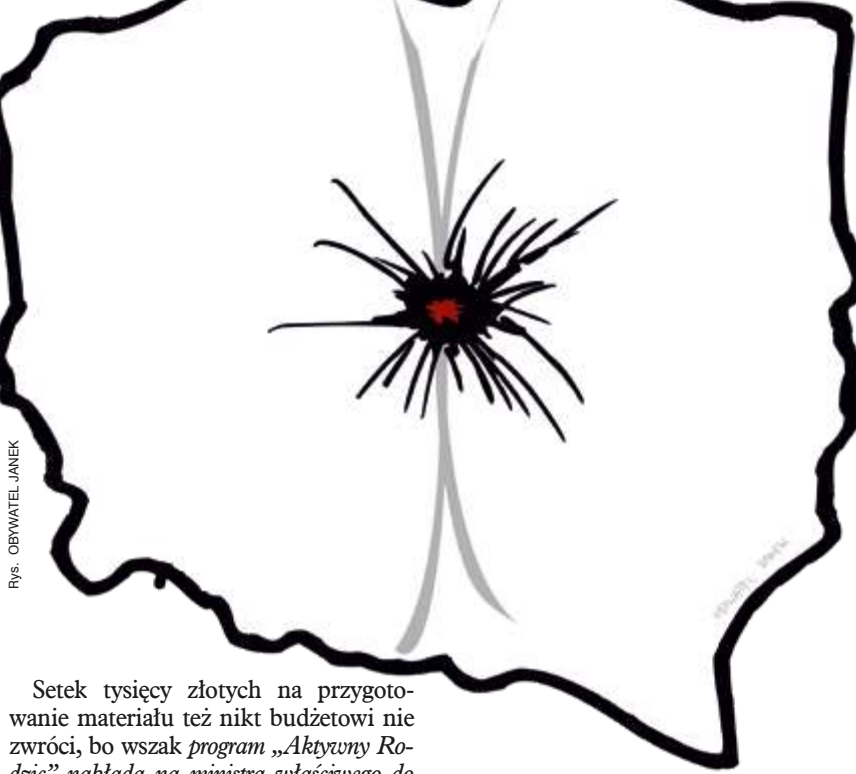
Zmartwienie wicepremiera pokazuje, że jest otoczony przez ludzi niemających pojęcia o rynku współczesnych technologii. Na nim zaś już od wielu miesięcy wszyscy wiedzą, że Intel to bankrut. Ma miliardowe straty, zwalnia pracowników na potęgę i wyprzedaje należące do siebie firmy. Ba, od kilku tygodni niemal pewne jest, że zostanie przejęty przez konkurencję. Gawkowski powinien się więc z takiego obrotu spraw cieszyć, bo 7 mld zł zostanie w budżecie. Zaś obietnice zatrudniania przez Intela w Polsce widać najlepiej po tym, że do Gdańskiego Urzędu Pracy chwilę temu trafiło zgłoszenie o zamiarze przeprowadzenia zwolnień grupowych w gdańskim oddziale firmy.

Babciowa

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, będąc ministrami rodziny, pracy i polityki społecznej, zabiegana jest od miesięcy. Biega od stacji radiowej do telewizyjnej i z powrotem, a prócz tego przecież robi dobrze wszystkim.

Z wyjątkiem może Donalda Tuska, który wściekł się, gdy w telewizji zobaczył spot, gdzie cudnie uśmiechająca się ministra reklamuje babciowe, czyli program „Aktywny Rodzic”. I palicho, że promowany przez ministrę z Lewicy koncept od początku do końca był pomysłem Koalicji Obywatelskiej. Tuska wkurzyło to, że Dziemianowicz-Bąk lansuje się w nim niczym politycy Suwerennej Polski przy okazji wozów dla straży pożarnej.

Wścieknięcie Tuska spowodowało, że spot Dziemianowicz-Bąk zniknął z anten w ciągu pół godziny. Oczywiście kasa za jego emisję i tak poszła do telewizji i rozgłośni radiowych, bo umowa jest umową.



Setek tysięcy złotych na przygotowanie materiału też nikt budżetowi nie zwróci, bo *wszak program „Aktywny Rodzic” nakłada na ministra właściwego do spraw pracy, zabezpieczenia społecznego i rodziny obowiązki promocji programu, więc MRPiPS realizowało ten obowiązek m.in. poprzez emisję spotów informacyjnych*. Po cholere oficjele z resortu pani ministrowi wpisali taki obowiązek, gdy o możliwości przytulenia 1,5 tys. zł wiedziały od miesięcy nawet Polki posługujące się wyłącznie językiem suahili?

Wielkim sukcesem Lewicy i Dziemianowicz-Bąk jest za to renta wdowia. Nikt przecież nie pamięta, jak 2,5 roku temu zbierano podpisy za tym, by to świadczenie wynosiło połowę renty czy emerytury zmarłego współmałżonka. Sukces jest, bo świadczenie przecież wchodziło ustawowo. A że zamiast połowy będzie ono wynosiło 15 proc.? Bo to, że za jakiś czas ma stanowić 25 proc., wcale nie jest przesądzone. Gdyby jednak komuś wydawało się, że wdowy i wdowcy i tak się obwołają, to pamiętajmy, że średnia emerytura to ok. 3600 zł brutto i jak ktoś ma kalkulator, to niech sobie obliczy, ile to jest 15 proc. tej kwoty.

Resort Dziemianowicz-Bąk od wczesnej wiosny przekonywał, że od października alimenty z Funduszu Alimentacyjnego skoczą z 500 do 1000 zł. Bo przecież projekt ustawy gotowy jest od 13 czerwca. Wchodzimy na aktualną stronę ustawy i czytamy: *Świadczenia z funduszu alimentacyjnego przysługują w wysokości bieżąco ustalonych alimentów,*

jednakże nie wyższej niż 500 zł. Ale ma być tysiąc, i to od października, bo w listopadzie projekt wyszedł z rządu i jak przejdzie, to będzie płacony z wyrównaniem.

Trzeba jednak oddać ministrze sprawiedliwości, że w kwestii Funduszu Alimentacyjnego nie zawsze rozmięła się z prawdą. Nigdy wszak nawet słowem nie zająknęła się na temat zmiany kryterium dochodowego, które muszą spełniać matki z dziećmi, by dostać państwowe alimenty. Limitem jest zaś 1209 zł na łebka i jak samotna matka zarabia ledwie najniższą krajową, to i tak jej dziecko się na świadczenie nie łapie, co ministrowie – jak widać – nie przeszkadza. Dlatego alimenty od państwa trafiają zaledwie do 39 tys. rodzin.

Sukcesor

Dariuszowi Wieczorkowi, z Lewicy oczywiście, przypadło kierowanie polską nauką i szkolnictwem wyższym. Tuż po powołaniu pojechał do Poznania, gdzie obiecał strajkującym w obronie akademika studentom, że ich postulaty będą spełnione. Pół roku później, gdy w Krakowie studenci strajkowali o to samo, Wieczorka nie było.

Prawdziwa seria sukcesów ministra nastąpiła jednak po wakacjach. Pojawił się bowiem projekt nowelizacji ustawy

o Polskiej Akademii Nauk przygotowany przez Ministerstwo Nauki. Uczniowie przeczytali i doszli do wniosku, że *proponowane zmiany prowadzą do utraty niezależności naukowej i autonomii tej instytucji, podporządkowując ją celom politycznym oraz umożliwiając przejście cennych aktywów PAN*. Zrobiła się zadyma, a do resortu Wieczorka jęły spływać listy protestacyjne. Sukces stąd, że po paru dniach Wieczorek obwieścił mediom, że *wolność naukowa jest najważniejsza, więc ani minister, ani rząd, ani parlament nie będzie walczył z Polską Akademią Nauk*, toteż resort nauki wycofuje się ze zmian.

Niecały miesiąc później w ośrodku badawczym IDEAS NCBR rada nadzorcza wybrała nowego prezesa. Dotychczasowy kierownik prof. Piotr Sankowski przegrał konkurs. Tyle że Sankowski został zaliczony przez Uniwersytet Stanforda do 2 proc. najlepszych naukowców na świecie. Decyzja rady wywołała więc oburzenie środowiska naukowego skutkujące rezygnacją wszystkich członków Rady Naukowej IDEAS NCBR oraz wieloma listami otwartymi do Tuska. Towarzystwo pobiegło do mediów i opowiadało, jak to rząd likwiduje jedyną w Polsce instytucję naukową, która zajmuje się sztuczną inteligencją. Wieczorka nikt wcześniej nie poinformował, o co biega z IDEAS NCBR, a szczególnie o tym, że główne zarzuty do Sankowskiego dotyczyły tego, że instytucja się nie bilansuje. Równie zaskoczony co Wieczorek był i Gawkowski – a ponieważ wiedział, że instytuty naukowe nie skupiają się na zarabianiu kasy, to ogarnięto sytuację i ogłoszono sukces. Stało na tym, że resorty: obrony, cyfryzacji i nauki oraz uczelnie mają zrzucić się na ufundowanie nowego instytutu rozwijającego sztuczną inteligencję. Liderem ma być prof. Piotr Sankowski. Za doprowadzenie do zadymy obwiniono wiceministra Macieja Gdulę.

Ledwo uspokoiło się po aferze z Sankowskim, a już media grzmiały, że po 35 latach statek badawczy Instytutu Oceanologii PAN s/y „Oceania” pójdzie na żyletki, bo Ministerstwo Nauki postawiło zaprzęścić finansowania.

Minister oczywiście o niczym nie miał pojęcia, a gdy się dowiedział, to wypalił w mediach, że *wszystkie informacje, które się pojawiły w przestrzeni publicznej, że zaprzestujemy finansowania, były po prostu nieprawdziwe*. „Oceania” ma więc zapewniony byt, a z Wieczorka młodszy koleś partyjni nabijają się, twierdząc, że jest nieodrodnym dzieckiem czasów swojej młodości. Kiedy to panował system specjalizujący się w likwidowaniu problemów, które sam stworzył.

Następne zdanie Czarzastego po tym, którym rozpocząłem tekst, brzmiało: *Chcę wam powiedzieć, że nikt nam tego współrządzenia nie zabierze*. Aby na pewno, panie marszałku?

TADEUSZ JASIŃSKI

Bestia z Kutna

Nagonka na Paulinę Matysiak dowodzi, że liberalne elity jak zwykle nic nie rozumieją

Po rozłamie na lewicy Razem stoi przed wyzwaniem zdefiniowania siebie na nowo. Bez tego nie uda mu się utrzymać swojej pozycji na polskiej scenie politycznej – jakkolwiek marginalna by to była pozycja. Po odejściu (zdradzie?) czołowych polityczek partii na nieoczekiwaną bohaterkę – i być może przyszłą twarz lewicy w Polsce – wyrasta, mimo wcześniejszego zawieszenia i widma wyrzucenia z partii, Paulina Matysiak.

Bez błogosławieństwa Tuska

Pamiętam, jak swego czasu Adrian Zandberg swoim pierwszym wystąpieniem w sejmie zwrócił w głowie całemu komentariatowi od lewa do pra-

wa, a Razem zaczęło istnieć medialnie jako powiew świeżości w polskiej polityce. Teraz partia znów musi zaistnieć – tyle że w pozytywny sposób, bo w ostatnich tygodniach stronnictwo jest przecież kojarzone jedynie z wojenką na lewicy. Paulina Matysiak zwróciła na siebie uwagę swoją współpracą z Marcinem Horałą i ich ruchem „Tak dla rozwoju!” wspierającym budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego. To, co przez większość rządową – w tym większą część lewicy – zostało potraktowane jak zdrada stanu i kolaboracja z wrogiem, w rzeczywistości było przejawem konstruktywnej antysystemowości, niezwykle potrzebnej na spolarzowanej scenie politycznej.

Wtedy kierownictwo Razem musiało stanąć niejako okrakiem nad problemem – bo choć formalnie partia nie była w rządzie, to gniew rządowej większości skupił się na grupie kilku posłów z Razem. Stąd półśrodki w postaci zawieszenia posłanki. Następnie nastąpiła próba usunięcia Matysiak z komisji infrastruktury, zablokowana jednak przez PiS i Konfederację. To pokazuje, jak niewygodną postacią dla liberalnego świata jest posłanka z Kutna, a także jak zaślepiona ideologiczną walką jest strona rządowa.

Ale teraz, po rozłamie, właśnie ta przeszłość Matysiak gra na jej – jak i całej partii – korzyść. Gdy opuszczające Razem posłanki odchodziły, mówiąc



Dla niefanatyków

Warto wspomnieć, że mimo medialnego szumu i surowej krytyki ze strony liberalnych mediów alians Matysiak z Horałą u sporej części wyborców, szczególnie młodszych pokolenia (co sam odczułem), spotkał się z aprobatą. Projekty takie jak CPK mają poparcie społeczeństwa bez względu na przynależność polityczną – co części polityków zdaje się ciągle umykać.

GADMAN

Polska lewica dziś nie jest antywojenną – zauważyła niedawno redaktor Agnieszka Wołk-Łaniewska. I tym krajowa lewica różni się od zagranicznej, nawet od tej unioeuropejskiej. To prawda, lewica w Polsce nie deklaruje antywojennych haseł, nie wzywa do natychmiastowego zakończenia wojen, zwłaszcza w Ukrainie. Bo dziś w Polsce taka postawa antywojenna traktowana jest w mediach głównego nurtu jako akt zdrady narodowej.

Demokracja sondażowa

Dziś u nas wzywać do natychmiastowego rozejmu w Ukrainie to tak jak w 1945 r. w Chinach wydawać córkę za Japończyka albo we współczesnej Mjanmie budować domy opieki dla mniejszości Rohingya.

Nie wiem, czy liderzy polskiej lewicy mają ugruntowane antywojenne poglądy. Ostatnimi czasami wszystkie ujawniane przez nich stanowiska coraz częściej warunkowane są aktualnymi opiniami i sympatiami wyrażanymi przez ich wyborców w sondażach.

Nie tylko oni tak politykę uprawiają. W Polsce demokracja parlamentarna coraz częściej ma twarz „demokracji sondażowej”. Partie polityczne najpierw zamawiają badanie opinii, aby dowiedzieć się, co ich wyborcy myślą na dany temat. Czy chcą Centralnego Portu Komunikacyjnego, posterunku policji w każdej gminie, związków partnerskich, kastracji gwałcicieli, kary śmierci za handel dopalaczami lub wódką w tubkach...

Jeśli duży odsetek wyborców chce – liderzy partyni wpisują to do swych programów. A nastroje społeczne w niespokojnych czasach falują.

W roku 1914 prowójenne nastroje we Francji były tak silne, że nawet liderzy tradycyjnie antimilitarystycznej socjaldemokracji głosowali za przyzwoleniem na wojnę. Ulica, nawet lewicowa, zgodnie twierdziła, że francuski robotnik może strzelać do rosyjskiego, bo wszyscy Rosjanie to „Azjaci”. Nie przewidywali, że niebawem miliony synów robotników zginą w okopach.

Ciekawe, jak zachowaliby się dziś liderzy polskiej lewicy, gdyby sondaże pokazały, że większość ich wyborców chce wygnania wszystkich Żydów z Polski. Bo Żydzi zabijają dziś palestyńskie dzieci.

Na pewno dziś polscy wyborcy bezkrytycznie popierają proponowane im programy zbrojeń. Marketingowo zwane zapewnianiem Polakom bezpieczeństwa. List obietnic zakupów uzbrojenia jest już tak wiele, że można ogłaszać konkurs na najgorszy, najgłupszy zakup dla polskiego wojska.

Najgłupszy zakup

Truizmem jest stwierdzenie, że dzisiejsi generałowie szykują swe wojsko do warunków wczorajszej wojny. A w czasach przedwojennych politycy wskakują w kostiumy generałów. Zwłaszcza ci, którzy wojsko znają jedynie z gospodarskich wizyt i defilad.

Pewnie dlatego możemy przeczytać, że odmrożono program „Miecznik”. Znow będziemy budować trzy fregaty. Pierwsza może być gotowa już w 2031 r. Duży okręt powstanie, czyli kosztowny. Jego wyposażenie będzie kompilacją różnych typów uzbrojenia i techniki. Zwykle wczorajszych, oby nie przedwczorajszych. Na pewno będzie prezentować się pięknie na zdjęciach i defiladach.

Krok defiladowy

Widzieliście jakiś polski most wyremontowany za pieniądze z USA?

Rosyjski krążownik „Moskwa” też piękny był. Do czasu kiedy okazało się, że na Morzu Czarnym można raketami ziemia-woda albo dronami zatopić każdy okręt. Zwłaszcza ten duży, widoczny. Dziś okręty rosyjskiej floty czarnomorskiej czujnie chronią się w portach. To piękna antywojenna postawa. Ich marynarze mają szansę dożycia pogodnej starości.

Polscy generałowie powinni też pamiętać doświadczenia wojny z Niemcami we wrześniu 1939 r. Wtedy II Rzeczpospolita też budowała swą flotę na miarę ambicji wojskowych i polityków, a nie militarnych realiów. Wielkim wysiłkiem finansowym, także zbiorcami społecznymi, ufundowano flotyllę niszczycieli i dużych okrętów podwodnych. Zaniedbano budowę małych kutrów raketowych, okrętów podwodnych, stawiaczy min. Nie stworzono lotnictwa morskiego i obrony przeciwlotniczej.

Wskutek tego polska marynarka straciła swe zdolności bojowe już w pierwszym tygodniu wojny. Samoloty niemieckie 3 września zatopiły niszczyciela „Wicher” i duży stawiacz min „Gryf”. Pozostałe trzy niszczyciele ocalały, bo przed wybuchem wojny wypłynęły do sojuszniczej Anglii. Ocalały też trzy okręty podwodne, bo uciekły do neutralnej Szwecji, gdzie do końca wojny były internowane. Do Anglii popłynął również okręt podwodny „Wilk”. Dołączył do niego bliźniaczy „Orzeł”, który wcześniej uciekł do neutralnej Estonii. Potem te niepasujące do walk na Bałtyku okręty walczyły wspólnie z brytyjskimi sojusznikami na większych morzach i oceanach.

Skoro Polska jest w NATO, skoro teraz do NATO należą wszystkie państwa bałtyckie z wyjątkiem Rosji, to może zamiast siłić się na nieracjonalne wydatki, stworzyć wspólną flotę z państwami UE i NATO? Dostosowaną do realiów obecnych i prognozowanych starć zbrojnych.

Chyba że elity polityczne i wojskowe potrzebują czysto polskich okrętów jedynie na okolicznościowe defiladowe galówki. Wtedy rzeczywiście muszą być duże i błyszczące.

Tłok na podium

Z defiladowymi okrętami w rankingu na najgłupszy zakup mogą konkurować zamówione właśnie w USA śmigłowce Apache. W liczbie 96 sztuk. Też wystarczająco duże, też z daleka widoczne.

Wojna w Ukrainie potwierdziła, że każdy śmigłowiec, zwłaszcza widoczny, może być zastrzelony przez pocisk obecnego z rakiety typu „Piorun”. Dlatego w wojnie ukraińskiej śmigłowce bojowe nie walczą na pierwszej linii. Są na zapleczu. Pełnią funkcje transportowe, ratownicze.

Armia polska potrzebuje śmigłowców, ale niekoniecznie tych bojowych. Potrzeba ich do ochro-

ny granic lądowych i morskich. Do transportu. Do ratownictwa, zwłaszcza podczas katastrof klimatycznych.

Zapewne te Apache’e to zakup polityczny. Kupujemy je u amerykańskiego producenta, aby wzmocnić amerykański przemysł zbrojeniowy, aby uczynić Amerykę znów wielką.

Oczywiście moglibyśmy kupić śmigłowce tańsze, lepsze nawet, u producenta z Unii Europejskiej. Jak uczyniły to niedawno Węgry okrzyknięte przez polski medialny komentariat najbardziej antyeuropejskim państwem w Unii Europejskiej. Autsajderem.

Polska chce przeprowadzić w Unii Europejskiej, chce być przynajmniej jej regionalnym liderem, a wspiera przemysł amerykański, olewając przemysł europejskiej wspólnoty. Kupując śmigłowce z USA, walczy z gospodarką Unii Europejskiej. Choć pomocy finansowej z USA nie dostaje.

Czy widzieliście jakiś polski most albo inny zabytek wyremontowany za pieniądze z USA?

Mosty trzeba będzie w Polsce remontować, bo choć państwa Unii Europejskiej zamierzają uzbroić swe armie w europejskie czołgi Leopard, to armia polska kupuje amerykańskie Abramsy i koreańskie typu K.

Zakupy w Korei rozumiem. Znam miejscową kulturę biznesową, która przewiduje wysokie prowizje dla kupujących. W skandynawskiej kulturze biznesowej takie prowizje zwane są łapówkami. Może kiedyś dowiemy się, kto skorzystał na azjatyckiej kulturze biznesowej.

Abramsy polscy patrioci kupili pewnie bez prowizji, czyli jeszcze głupiej. Aby mogły być w Polsce użyteczne, trzeba przebudować u nas wiele mostów, bo to są naprawdę ciężkie czołgi. Być może wyrwimy na to jeszcze więcej kasy z Unii Europejskiej i poprawimy tym polską infrastrukturę komunikacyjną. Może to być jedyna realna korzyść z zakupu tych czołgów. Bo doświadczenia wojny ukraińskiej oraz ormiańsko-azerbejdżańskiej w Karabachu dowiodły, że odpowiednie drony i pociski kierowane zniszczą każdy czołg. Nawet tak kosztowny jak Abrams.

Wał na naszą miarę

Zapewne wiele sprzętu zakupionego przez rząd polski będzie musiało leżakować w magazynach. Bo nadal nie mamy w Polsce fabryk amunicji potrzebnej na pozamawiane armaty i haubice. Bo pol-



Ilustr. Paweł Ferenc

scy patrioci z PiS nie chcieli kooperować z niemieckim przemysłem. Zadeklarowali pomoc dla przemysłu czysto polskiego – i skończyło się jak z też obiecywaną produkcją miliona polskich samochodów elektrycznych, flotą promów morskich, małych elektrowni atomowych.

Zresztą te wszystkie zakupione czołgi, śmigłowce, fregaty będą spokojnie błyszczeć, bo potencjalnego wroga, czyli Rosję, wystarczająco odstraszyć ma obiecana polskim wyborcom fortyfikacja Tarca Wschód. Taki nasz Wielki Mur albo linia Maginota.

Nie chcę znów szukać analogii w historii murów i fortyfikacji. Skoro polski wyborca chce w sondażach takiego wała, to go dostanie. Oby był to też zarobek dla firm płacących tu podatki. Oby choć grosz z wydanych miliardów wrócił do kasy publicznej, do państwowego budżetu.

Niestety, polski wyborca, głosując w sondażach za zaspokajaniem kolejnych przejawów dumy Polaków, nie łączy tego z olbrzymimi, często niepotrzebnymi wydatkami opłacanymi z jego podatków.

Nie kojarzy, że niepotrzebne zbrojenia to hamulec rozwoju potrzebnej mu służby zdrowia, nauki poprawiającej środowisko, przedłużającej mu życie. Nie kuma, że jego życie i bezpieczeństwo badziej zależy od służby zdrowia, infrastruktury komunikacyjnej, stanu rzek i powietrza niż kolejnych setek czołgów. Idealnych na wywołujące orgazmy patriotyzmu defilady. Wtedy niepotrzebujące deficytowej amunicji, systemów łączności, zapasowych załóg, kosztownej infrastruktury magazynowej i remontowej.

Czy tworząc polską armię na defiladowe pokazy, polscy politycy ujawniają swe głęboko skrywane antimilitarystyczne poglądy?

PIOTR GADZINOWSKI

Matysiak zdobywa niezwykłą aprobatę w internecie, i to z różnych stron, co jest aktualnie jej najważniejszym atutem. Na portalu X zdążyła już zasłynąć swoimi ripostami pod adresem rządowej większości.

Największym echem odbiła się jej riposta na wpis Donalda Tuska: „Prawo i Sprawiedliwość” i „Razem” – te nazwy partii wymyślił ktoś obdarzony nieprzeciętnym poczuciem humoru. Czarnego. Matysiak odpowiedziała: A nazwa Platforma OBYWATEL-SKA pana nie bawi? Dziwne.

Niby nic, ale w internecie liczą się zasięgi – i tutaj Matysiak bije rekordy popularności. Wystarczy rzucić okiem na statystyki: wpis Tuska polubiło ledwo 14 tys. użytkowników. Z Pauliną Matysiak zgodziło się ich 36 tys. Niemal trzykrotne przebicie wyniku premiera jest o tyle imponujące, że szefa rządu na portalu obserwują niemal 2 mln osób, a posłankę z małej partii niecałe 60 tys.

Wśród przeciętnych użytkowników, którzy są zainteresowani polityką, ale nie należą do fanaty-

ków żadnej ze stron, Matysiak ma ogromne uznanie, którego inni politycy mogą jedynie zazdrościć. Zyskująca swoimi ripostami popularność posłanka zdobyła u internautów przydomek „Bestia z Kutna” i wzbudziła zakłopotanie liberalnych fanatyków spod szyldu „uśmiechniętej Polski” do tego stopnia, że zaczęto jej zarzucać kupowanie polubień od botów. Takie oskarżenia pojawiły się nawet na koncie Alicji Defratyki, ekonomistki znanej głównie z bycia fanką Donalda Tuska. Niewiara w to, że w Polsce można zgadzać się z kimś ponad podziałami, posuwa się tak daleko, że jeden z internautów zażądał od Matysiak listy wszystkich osób, które polubiły jej wpisy. Swoją drogą, jest to dość smutny przykład tego, jak fanatyzm skłania ludzi do doszukiwania się wszędzie wrogiego spisku, kompletnie wyłączając zdolność do logicznego myślenia.

W pociągu do Polski B

Jednak Matysiak to nie byle internetowa celebrytka, ale polityczka znająca się na swojej dziedzinie, co w przyszłości może pomóc Razem uwolnić się od łatki recenzentów. W przeciwieństwie do wielu polityków – zasiadających w różnorakich komisjach parlamentarnych i niemających pojęcia o tematyce, jaką komisje te się zajmują – wiceprzewodniczącą komisji infrastruktury rzeczywiście zna się na rzeczy. Skończyła studia podyplomowe z interoperacyjności systemu kolei.

Na dodatek, w przeciwieństwie do znacznej części „ekologicznej” lewicy, rozbijającej się po Polsce limuzynami, na internetowych profilach Matysiak co i rusz widzi relacje z kolejowych podróży, czy to na posiedzenia sejmiku, czy po prostu po Polsce. To też działa na korzyść zarówno

jej, jak i partii. Problem wykluczenia komunikacyjnego dotyka ogromną część Polaków, niezależnie od poglądów, i jest z reguły bagatelizowany przez większych graczy.

Takie właśnie praktyczne postulaty są drogą do budowy poparcia – w przeciwieństwie do zafiksowania światopoglądowego Nowej Lewicy. Matysiak ma potencjał na dotarcie do grupy wyborców docelowej raczej dla PiS-u: mniejszych miejscowości, w znacznej większości będącej klasą robotniczą (nawet jeśli inni „lewicowcy” twierdzą, że klasa taka nie istnieje).

Wizerunkowo „Bestia z Kutna” też może wiele ugrać dla Razem. Nie ciągną się za nią żadne afery – kwestia współpracy z Horatą boli jedynie stricte liberalnym elektorat i tak traktujący Razem jak nowe wcielenie bolszewików. Nigdy nie była częścią koalicji rządowej, więc wszelkie błędy nowej władzy nie idą na jej konto. Jest młoda, wykształcona. Można by rzec: materiał idealny na słynną nową jakość w polskiej polityce.

Matysiak 2025?

To wszystko rozważać należy oczywiście w kwestii potencjału, który niełatwo będzie wykorzystać. Medialny czas, jaki otrzymują przedstawiciele „razemków”, to wciąż zaledwie procent z tego, co do dyspozycji ma polityczny mainstream. Kluczowe będzie wykorzystanie każdej sekundy uwagi zrodzonej z kontrowersji, jaką jest rozłam na lewicy – co Matysiak zdaje się już teraz doskonale rozumieć.

Niecały miesiąc temu, po raz kolejny wykorzystując możliwości internetu, pojawiła się w programie „Taniec z ministrami” na Kanale Zero Krzysztofa Stanowskiego w serwisie YouTube. Nagranie na ten

moment ma około 800 tys. wyświetleń (widzowie to głównie osoby niezaangażowane emocjonalnie w politykę, a szukające rozrywki) i masę pochlebnych komentarzy na temat występu jej i... Sławomira Mentzena. Widać dwa skrajne światy mogą współistnieć na polu dyskusji – choć za samo siedzenie obok przedstawiciela Konfederacji część liberalno-lewicowego internetu chce ją ukrzyżować.

Niesłusznie. Docieranie do wszystkich grup społecznych, nawet prawicowych, działa na korzyść całej lewicy, choć na pierwszy rzut oka tego nie widać. Zapatrzeni jak w bożka fani Mentzena właśnie zobaczyli ludzką twarz demonizowanej przez prawaków formacji. Wielka szkoda, że reszta partii nie umie zaistnieć medialnie – ale cóż, nie można mieć wszystkiego. Jeszcze do niedawna status Matysiak we własnej partii był jedną wielką niewiadomą, dziś jest członkinią nowo założonego koła poselskiego Razem i w zasadzie jej najważniejszą postacią. Na dodatek w ostatnim jej wywiadzie na antenie RMF FM u Roberta Mazurka wspominała o możliwości kandydowania na prezydenta Rzeczypospolitej, jednocześnie deklarując, że Razem swojego kandydata w tych wyborach wystawi. *Rozważylabym kandydowanie na prezydenta Polski. Nie ma na razie takiej propozycji na stole. Czekam na rozwiązanie sytuacji z moim statutem w partii* – zadeklarowała. Teraz, gdy jej sytuacja wewnątrz partii niejako się wyklarowała, kto wie, co czeka nas w przyszłości.

Matysiak 2025? O to będzie trudno, poprosiłbym jedynie o uratowanie lewicowej duszy kraju nad Wisłą.

NIKODEM KUSZ

Była namiestnik Waszyngtonu w Warszawie przebiera nogami za powtórką z fuchy u Trumpa. To dlatego wysłała polskim mediom przekaz, że Trump w Białym Domu to *naprawdę dobra wiadomość dla Polski*.

Gubernatorka Pislandii

Mogę to powiedzieć z przekonaniem, ponieważ znam Donalda Trumpa, znam Polskę i Polacy sami wiedzą, czego dokonaliśmy za pierwszej kadencji – mówiła Georgette Mosbacher w rozmowie z PAP i dodała, że jej praca w Polsce była przez prezydenta bardzo chwalona i jest gotowa wrócić nad Wisłę.

Nic w tym dziwnego, bo rola Mosbacher jako ambasadora wykraczała mocno ponad to, do czego przyzwyczajony jest świat cywilizowanej dyplomacji.

Reprezentowanie Stanów Zjednoczonych zaczęła we wrześniu 2018 r. Ale jak zaczęła! Od publicznego spostponowania polskiego rządu i premiera za zamach na wolność mediów w Polsce. Mediami był TVN, a o wolności stacji stanowił właściciel, czyli stricte amerykański koncern medialny Discovery. Ten sam, który dziś chce sprzedać TVN Węgrom podejrzanym o to, że zostali podstawieni przez Roszków.

W normalnym kraju, w sytuacji zagrożenia interesów pochodzącej z USA firmy, amerykański ambasador wykonałby kilka telefonów, spotkałby się z kim trzeba i rzecz bez rozgłosu by załatwił. Mosbacher skorzystała z dyplomacji à la Chruszczow i wałnęła w stół. Miała rację. Zamiast po publicznym sponiewieraniu premiera zostać wezwana na dywanik w MSZ, dostała publiczne zapewnienie wszystkich świętych, że od TVN się odczepiają.

Jednak rząd Morawieckiego składał się albo z idiotów, albo z nieuków, którzy nie byli w stanie pojąć, że jak coś jest amerykańskie, to wara Polsce od tego. Chłopaki poważnie rozważali bowiem unijną koncepcję opodatkowania amerykańskich potentatów internetowych i technologicznych. Wtedy znów wkroczyła Mosbacher. Dlatego Google czy Facebook do dziś nie płacą podatku cyfrowego i dlatego po polskich ulicach bezpodatkowo przez wiele lat śmigał Uber.

Żeby zażegnać wszelkie ryzyko dla zysków amerykańskich gigantów, pani ambasador do kija, którym waliła w stół, dorzuciła marchewkę: audiencję dla Andrzeja Dudy w Białym Domu u samego przywódcy wolnego świata. Polski prezydent ośmieszył się już sam niczym uczeń, stojąc przy stole, za którym zasiadał rozparty Trump.

Kup pan samolotik

Żeby choć w tym wszystkim było jakieś żdźbło finezji dyplomatycznej. Gdzie tam! Mosbacher, gdy widziała zagrożenie dla biznesu amerykańskiego, to pisała list otwarty. Gdy zaś jej się nudziło, to wzywała do siebie polskiego ministra i przy świadkach kazała mu się odczepić od amerykańskiej firmy, choćby nawet nazywała się PKP Energetyka.

Mosbacherowa wiedziała dobrze, co robi. Poznała ówczesną wierzuszkę w Polsce i była pewna, że z nią trzeba rozmawiać w sposób jasny i prosty. Im bardziej się jej dokopie, tym będzie grzeczniejsza. A nawet kupią kolejną nieistniejącą jeszcze broń, za miliardy dolarów. Dzięki tej polityce Polska kupiła dwa samoloty F-35 mniej niż Belgia, ale za to zapłaciła 350 mln баксов więcej. Geniusz strategiczny Mosbacher spowodował na dodatek, że połowę forsy za wszystkie latadefka Polacy zapłacili, zanim zobaczyli choćby jeden samolot.

Ale przecież wśród amerykańskich wartości pieniądze to nie wszystko. Liczą się też ponoć wolności obywatelskie, demokracja, prawa człowieka i praworządność. Dla Mosbacher też się liczyły. Dowodziło tego jej konto na Twitterze.

W polskim pisowskim MSZ o tym wiedzano i dlatego szefostwo dyplomacji rozeszło po reszcie rządu okólnik, żeby wpisów ambasadorzy nie traktować poważnie. One są bowiem pro forma i dla zupełnie innego czytelnika niż polski rząd.

Dla pisowskiej władzy pani ambasador miała zawsze coś w zanadru. Szczególnie gdy szły wybory. Raz załatwiła Polakom wizy elektroniczne, wciskając im to jako zniesienie wiz – jak w przypadku wyborów parlamentarnych. Innym zaś razem załatwiła w dobie

Z niecierpliwością czekamy na powrót Georgette Mosbacher

Murzyńskość – reaktywacja

pandemii wizytę Dudy u Trumpa w przeddzień polskich wyborów prezydenckich. Oba myki zadziałały, bo kochający Amerykę Duda władzę w 2020 r. utrzymał. A potem był wdzięczny Trumpowi, co wyraziło się w długim ignorowaniu zwycięstwa Joe Bidena.

Przeciw, a nawet za

Co zabawne, Georgette Mosbacher na zmianę lokatora Białego Domu zareagowała zgola inaczej niż jego polski wasal. Trump wkurzył ją parę miesięcy wcześniej wpuszczeniem na minę chińską. Jako jedyny ambasador USA na świecie miała toczyć wojnę z Pań-

stwem Środka. Ośmieszała się więc publicznie, wymieniając na Twitterze złośliwości z ambasadorem ChRL w Polsce. Obciach tej sytuacji dotarł nawet do republikańskich przyjaciół Mosbacher w Waszyngtonie, wskutek czego przestali być jej przyjaciółmi.

Dlatego, zamiast stanąć murem za swoją nominatką, Trump przed wyborami postanowił Georgette poświęcić. Miała z Warszawy wylecieć.

Pani ambasador się wściekła. Nie po to robiła z siebie idiotkę, żeby dać się wykopać. Tydzień po wyborach w USA uznała zwycięstwo Joe Bidena i złożyła hołd wiceprezydent elekt Kamali Harris.

Twitter Georgette też zamilkł. Atak prorządowych mediów na Onet dziwnym trafem pozostał bez odpowiedzi. Onet zaś, wbrew pisowskim mediom, nie był niemiecki, ale należał do wieloszościowego akcjonariusza pochodzącego zza oceanu. Takim samym milczeniem Mosbacher potraktowała przymiarki PiS do ówczesnej koncepcji okkupienia od Discovery TVN.

Zabiegi nad przedłużeniem swej bytności w Warszawie nie do końca jednak Mosbacher wyszły. Od nowego szefa dyplomacji bidenowski dostała ledwie zapewnienie, że do jesieni nikt jej nie ruszy.

Zrobiła więc to, co nominowani urzędnicy amerykańscy zawsze robią po zmianie władzy: napisała dymisję z dniem zaprzysiężenia nowego prezydenta.

Owa standardowa procedura została przez kilku posłów PiS odebrana jako protest przeciw Bidenowi. Posłowie ci rozpoczęli starania, które miały Mosbacher zapewnić Order Orła Białego. Nie wyszło i ambasadorowanie w Polsce Georgette zakończyła ledwie z Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Ma więc kobieta po co wra-

cać na warszawską placówkę. Zwłaszcza że przez ostatnie lata naprawiała relacje z Trumpem.

Obroncy naszych polskich granic

PiS fetowało Donalda i Georgette za wzmocnienie obronności Polski dzięki stacjonującym u nas amerykańskim żołnierzom. Jak to wyglądało, mogliśmy się przekonać na początku 2020 r. dzięki *demonstracji zdolności wojsk amerykańskich do szybkiego przerzutu znaczących sił bojowych w celu wsparcia NATO i reakcji na każdą sytuację kryzysową* – jak reklamowane były na stronach US Army ćwiczenia wojskowe o kryptonimie Defender – Europe 20.

W ćwiczeniach zaplanowano udział 37 tys. żołnierzy państw sojuszników, w tym 20 tys. żołnierzy amerykańskich przerzuconych bezpośrednio z terytorium USA. Udział Wojska Polskiego zaplanowano na około 3 tys. żołnierzy. Założenia Defendera mówiły, że główne siły wojsk amerykańskich dotrą na poligon, gdy już cały sprzęt tam dojedzie. Czyli w okolicach 10 marca.

Samoloty transportowe jednak się nie pojawiły. Pytania dowódców ćwiczeń i polskiego MON Waszyngton zbywał formułą, że z powodu koronawirusa doszło do zamieszania w kwestiach logistycznych, ale za chwilę sprawy się wyprostują i wojsko wystartuje. Przysłania swoich kontyngentów odmówiło jednak kilka armii europejskich.

Mimo braku marines i większości sojuszników 11 marca na poligonie w Drawsku Pomorskim szef MON Mariusz Błaszczak uznał manewry za otwarte.

Stany Zjednoczone wysyłają 20 tysięcy synów i córek, żołnierzy z kontynentu, świetnie wyszkolonych, gotowych, by zginąć za USA, sojuszników, Polskę. Nie ma lepszego dowodu na zaangażowanie USA – mówiła Georgette Mosbacher. Uroczystość otwarcia megaćwiczeń uświetnił oczywiście i prezydent Andrzej Duda.

Towarzystwo to mocno się ośmieszyło, bo dwa dni po oficjalnym rozpo-

częciu Defender – Europe 20 z US European Command do szefostwa MON i dowódców manewrów dotarła informacja, że *od 13 marca cały ruch personelu i sprzętu z USA do Europy został wstrzymany* – czyli ćwiczeń nie będzie. Analitycy wojskowi wyciągnęli z tego dość oczywisty wniosek, że gdyby coś, to na Amerykanów lepiej nie liczyć.

Zwłaszcza że gdy Biden obejmował Białą Dom, mieliśmy w kraju 1 tys. towarzystwa służącego w US Army i fantazje na temat „Fortu Trump”. Tego zaś, że dziś jest ich kilkakrotnie więcej, też nie zawdzięczamy kolejnej amerykańskiej administracji, lecz Putinowi, który napadł na Ukrainę.

Wysniana lata temu przez Sikorskiego *murzyńskość* w podejściu do USA była wpisana w program każdego polskiego rządu po 1989 r. Widać to było tak po wyniesieniu na ołtarze płk. Kuklińskiego przez Millera, jak i po rozliczeniu przez trzy różne rządy offsetu za F-16, na którym popłynęliśmy na dobre kilka miliardów dolarów.

Mosbacher nie mogła tu niczego popsuć. Zwłaszcza że nastąpiła po ambasadorze, którego mianował jeszcze Obama, a którego długo nie miał serca zdjąć nawet Trump.

Paul Wayne Jones przez trzy lata w Warszawie dobrze zasłużył się Ameryce. Wycisnął z Polski kontrakt za prawie 5 mld dol. na nieistniejące jeszcze Patrioty kolejnej generacji, pogonił francuskie Caracale, żeby śmigłowce dla polskiej armii były amerykańskie, i załatwił kontrakt na skroplony amerykański gaz, który uniezależniał energetycznie Polskę dzięki temu, że był dwakroć droższy niż każdy inny. Za zasługi dla swojego kraju, a w szczególności dla przemysłu zbrojeniowego Stanów Zjednoczonych, Paul Jones został więc wiceprezesem Raytheonu. Giganta militarnego, który produkuje Patrioty i samoloty na literę F.

Dlatego czy na placówkę w Warszawie przyjedzie Mosbacher, czy ktokolwiek inny, robi to tylko po to, żeby *Ameryka znów była wielka*. I dopnie swego. Dowodzi tego zarówno dzisiejsza amnezja naszych polityków o tym, jak niegdyś darli łacha z Trumpa, jak i nagle zniknięcie ich antytrumpowskich wpisów w socjalmiedach. W kontekście obronnych zdolności Europy serwilizm wobec Waszyngtonu znów staje się polską racją stanu.

TADEUSZ JASIŃSKI

List Tarczyńskiego do Trumpa jest śmieszny tylko z pozoru

Św. Dominik Donosiciel

Zafascynowany postacią europosła PiS Dominika Tarczyńskiego, jałem kopnąć w internecie i po niedługim już kopaniu na pewnej katolickiej stronie znalazłem taką oto informację: *Dominik Tarczyński był także asystentem świeckiego czolowego brytyjskiego egzorcysty, ks. Jeremiego Daviesa, który wspólnie z o. Gabriele Amorthem założył Międzynarodowe Stowarzyszenie Egzorcystów*. Wygląda na to, że lider sekty wyznawców Trumpa w RP to nieźle wymagowany w zagranicznym maglu fanatyk. A trzeba wiedzieć, że katolicyzm anglosaski to nie przelewki. Tam się diabły traktuje poważnie, podobnie jak zwalczanie pedalstwa i dżenderu.

Trzeba oddać egzorcystom jedno, że są ludźmi wiary. To, w co wierzą – czyli absurdałna ciemnota, której się oddają – jest wprawdzie haniebną, lecz przynajmniej oni sami nie są hipokrytami. Jestem gotów uznać, że Tarczyński wierzy w to, co mówi i robi, a jego obłądny klerykalizm i mentalny rodem ze średniowiecza są autentyczne, jak relikwie św. Dominika w bolońskiej bazylice. A ja do takich bożych szaleńców mam słabość. Z upodobaniem przeczytałem nawet „Dzienniczek” siostry Fausty. My, KUL-owcy, tak mamy.

Deklaracje tego rodzaju są niezbędne, gdy chce się kogoś sądzić. Sympatia (podobnie jak antypatia) utrudnia bowiem osąd sprawiedliwy, stwarzając tzw. konflikt interesów. Ja jednak jestem stary lis i na ocenianiu ludzi się znam nie gorzej niż ksiądz egzorcysta. Dam sobie radę. A jest co oceniać, bo Dominik Tarczyński niczym płk. Kukliński został oskarżony przez media mętnej nury i niektórych polityków koalicji 13 grudnia ni mniej, ni więcej, tylko o zdradę państwa i rożmyślne dewastowanie relacji naszego kraju z USA. I w zasadzie mówi się to poważnie – albo wpół poważnie.

Czym sobie Tarczyński zasłużył na ten niewątpliwie dodający mu dotychczas rozpaczliwie brakującej

mu powagi zarzut? Ano przetłumaczył na angielski i złożył u stóp Jego Wysokości Króla Donalda Trumpa staranne wypisy z antytrumpowskich wypowiedzi polskich polityków. Tym samym, będąc polskim posłem, dokonał zdrady państwa, z rożmysłem działając na jego szkodę poprzez czynności i sposoby działania charakterystyczne dla dyplomacji. Właściwie jest na to paragraf. Mianowicie taki: *Art. 129 kk (zdrada dyplomatyczna): Kto, będąc upoważniony do występowania w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją, działa na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10*. Nie ma przy tym znaczenia, że szkodząc krajowi, Tarczyński przekazywał informacje jawne, a nie tajne. Ma natomiast znaczenie to, czy jako europoseł jest upoważniony do występowania w imieniu RP. Technicznie biorąc, nie. Przed sąd więc nie trafi. Pozostaje jednak ocena moralna jego postępowania.

Zacząć trzeba od tego, że wypowiedzi potępiające w czambuł Trumpa były i pozostają słuszne i prawdziwe. Ba, jest rzeczą pożądaną, aby osoby słusznie potępiane zapoznawały się z prawdą o sobie. Wprawdzie Donald Trump wie, że jest cynicznym i zepsutym do szpiku kości bufonem, z wieloma sprawami i sprawkami na sumieniu, ale skoro udało mu się uniknąć sprawiedliwości, to niechaj przynajmniej zdaje sobie sprawę, co wiedzą i myślą o nim porządni ludzie. Patrząc z tego punktu widzenia, trzeba by Tarczyńskiemu wręcz podziękować.

Jego własny punkt widzenia jest jednakże zupełnie inny. Jako opętany i fanatyczny wazeliniarz, dla którego Trump jest zbawicielem świata niosącym zagładę komunistom, dżenderom i innym wynalazkom szatana, widzi wszystko, co tylko jest w stosunku do niego krytyczne, jako obrażę najwyższego majestatu. W swoim bezprzykładnym luzusostwie, podszytym zapewne jakimiś nadziejami na ochłap

z pańskiego stołu, Tarczyński wyobrażał sobie, że składa u stóp pana ofiarę symboliczną, w której zawiera się błaganie o patronat i pomoc. Oto ojczyzna ofiarnika znalazła się w rękach niewiernych i tylko katolicki cesarz może ją odbić i przywrócić prawowitym właścicielom, czyli partii Prawo i Sprawiedliwość, karzącej ręce Kościoła świętego. Inaczej mówiąc, ekipa Trumpa musi pomóc w wygraniu wyborów prezydenckich przez PiS, a potem w przejęciu pełni władzy w Polsce.

Tarczyński nawet nie udaje, że chodzi mu o cokolwiek innego niż wyproszenie – czy wymuszenie – ingerencji USA w sprawę niby to wolnej i demokratycznej Polski. Wiernopoddanie gesty to rzecz w polityce tyleż dobrze znana, co niezmiennie obrzydliwa. Tarczyński, poza tym, że jest fanatykiem, karierowiczem i wazeliniarzem, w sensie moralnym jest po prostu pospolitym zdrajcą. Jego celem jest bowiem uderzenie w polski rząd i zepsucie relacji tego rządu z USA, a tym samym pogorszenie sytuacji międzynarodowej naszego kraju. Nie jest to żadna uprawniona czy nieuprawniona krytyka ani walka polityczna, lecz wręcz i otwarte szkodzenie Polsce. Tarczyński zachowuje się po prostu jak ruski agent.

Sprawa jednakże tylko z pozoru wygląda na kolejną akcję sabotażu politycznego sterowanego przez Rosję. Tarczyński zapewne nie tym służy panom.

Jego kontaktem w ekipie Trumpa jest przysły wiceprezydent J.D. Vance, radykał katolicki z Opus Dei. Vance wielokrotnie już przychylił ucha PiS-owskiej propagandzie i ją poprzez media spolecznościowe upowszechniał.

A jednak Kaczyński nie może powiedzieć, że Vance to „nasz człowiek w USA”. To jest człowiek Kościoła. Podobnie jak Tarczyński. I obaj ci młodzi fanatycy mają marzenia, które pięknie ze sobą konwenują. Vance marzy, że pręjemie prezydenturę po mało przytomnym Trumpie, a Tarczyński marzy, że jego kolega prezydent USA pomoże mu zostać w przyszłości prezydentem Polski. O ile nasz świątobliwy Dominik może sobie o prezydenturze pomarzyć pod prysznicem, to demoniczny J.D. Vance ma szansę zrealizować swój plan. A wtedy zażęskniemy za starym pocziwym Donkiem Trumpem.

JAN HARTMAN

Biało - czerwony pionek

Polacy ochujeli po zwycięstwie Trumpa

Kiedy zmieszana, ale niewstrząśnięta zaczęłam wglębiać się w polskie komentarze polityków i czołowych komentatorów po wyborze Donalda J. Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych, niczym natrętna mucha po mojej głowie zaczęła krążyć fraza z piosenki Porzonych Kawą Trzy, „Ochujalem”:

*Nic nie robię, walę głupa,
Aspiracje mam za małe,
W telewizji wielka dupa,
Ochujalem, ochujalem.*

Rzecz jedynie w tym, że aspiracje rodzimych kawiarnianych mistrzów i mistrzyni geopolitycznej szachownicy są nazbyt wybujałe. I zupełnie nie liczące się z podstawowymi faktami, kluczowymi procesami na świecie, niewyjaśniające rzeczywistości, lecz zaciemniające ją potokiem pustosłowia. Polska, biało-czerwony pionek, jest wspólnie kreowana na jakąś ważną figurę, z którą wszyscy się muszą liczyć.

Czas spuścić trochę powietrza z tego nadmuchanego ponad miarę balonika.

Platformersi odszczekują

Z nieklamany rozbawieniem przyjechał europosła Dominika Tarczyńskiego, który przywiózł ekipie Trumpa zestaw nieprzychylnych o nim wypowiedzi obecnie rządzących. Było to prawie równie żenujące co PiS-owcy i konfiarze w sejmie z czerwonymi czapczkami. Jak i poseł Błaszczak, żądający, aby wraz z elekcją amerykańskiego Donalda, polski Donald (Tusk), podał się do dymisji. Przemysław Czarnek marzy, by być polskim Trumpem, i objeżdża kraj, licząc, że Prezes namaści go na kandydata na prezydenta.

Ta odklejona ekipa zapomina, że prezydent elekt wygrał, bo miał za sobą poparcie nawet nie wielkiego, lecz wręcz największego (Musk!) kapitału. I może jebać kogoś tam jak burą sukę, ale jego celem jest obrona potężnych interesów, systematyczne napychanie kieszeni miliardom. A Polska, tak za PiS, jak za obecnej uśmiechniętej koalicji, uwiel-

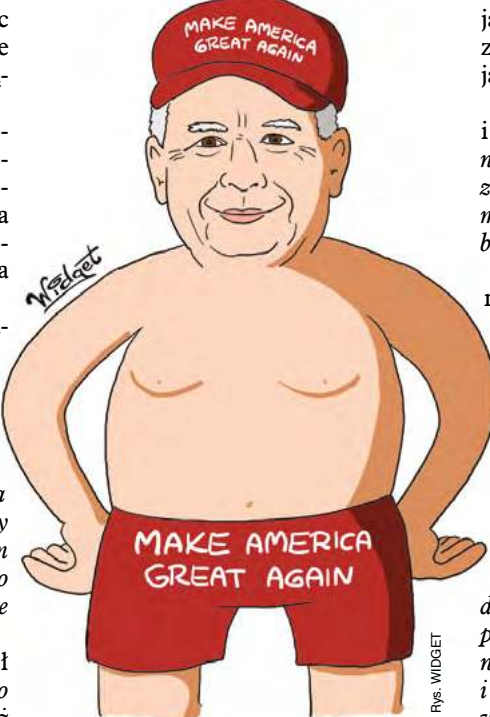
bia kupować amerykańską broń (stając się jednym z jej czołowych globalnie importerów), chce, aby elektrownię jądrową budowali kowboje itd.

Dwaj miłośnicy Stanów Zjednoczonych, premier Tusk i szef MSZ Radosław Sikorski, niczym oszczercy w średniowieczu po zwycięstwie Trumpa weszli pod stół i odszczekali to, co mówili jeszcze nie tak dawno o tym, co ma Amerykę znów uczynić wielką.

Sikorski swego czasu zrównał Kaczyńskiego i Trumpa, nazywając ich *proto faszystami, dla których wyroki czy wybory są ważne tylko, gdy idą po ich myśli*. Teraz podkreśla, może nieco przesadnie, że po wielokroć chwalił *pana prezydenta Trumpa, nie tylko za to, że mówił, że państwa NATO powinny więcej wydawać na zbrojenia, chwaliłem także dobitną formę, bo gdy mówiono w języku dyplomacji, to do niektórych nie docierało*.

Tusk o swym imienniku stwierdził dosadnie wiosną ub.r.: *Trump i jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu*. Teraz po prostu zaprzeczył temu, co wtedy mówił, dodając, iż Trump jest *człowiekiem otwartym, mówiącym chyba to, co myśli*.

Media zazdroszczą Pudelkowi liczby odsłon i prześcigają się w analizie (częściej psychoanalizie) zwycięzcy amerykańskich wyborów, zastanawiając się usilnie – ale nadal głupio



– czy jest się czego bać, bo Trump jest nieprzewidywalny, chimeryczny. Nie biorą pod uwagę, że to tylko teatr, którego kto inny jest reżyserem.

Wystarczy słuchać Trumpa

Skupianie się na narcyzmie Trumpa, jego rozdętym ego, wręcz szaleństwie, jest odwracaniem uwagi od tego, jaką politykę prezydent USA będzie zapewne prowadził. Dowiodła tego skądinąd jego pierwsza kadencja. Zabawne, że komentarze cenionych „ekspertów”

jawia się jako dużo dziwniejsze i kuriozalne od słów najsłynniejszego w kraju jasnowidza, Krzysztofa Jackowskiego.

Dominika Długosz z „Newsweeka” i Onetu ze smutkiem zauważyła, że *Donald Trump ma realną chemię polityczną z politykami polskiej prawicy. I to może mieć zdecydowany wpływ na polskie wybory prezydenckie*.

Nasz ambasador w USA, ceniony przez wielu Marek Magierowski, stwierdził: *To, czego najbardziej obawia się prezydent Trump i czego nie cierpi, to przegrywać. Trzeba więc mówić mu wprost, że tego typu deale z prezydentem Putinem po prostu oznaczają porażkę Stanów Zjednoczonych i ich kapitulację*.

Na tym tle jasnowidz z Czulchowa brzmi nader przekonująco, prognozując: *On nie ma szczęścia. Lata 2024 do 2028 to jest czas wojen i w takim czasie przyjdzie mu sprawować władzę. Na pewno Trump ostrzej będzie traktował Europę i Polskę. Na pewno nie będzie miał wpływu na decyzje Putina. On sędziego pomoc na rzecz Ukrainy na Europę*.

Trump, jeśli zostawić na boku jego bombastyczną retorykę, wciąż zwraca uwagę, że Chiny są zagrożeniem dla potęgi USA, zwłaszcza na polu gospodarki. Na tym tle jakaś tam wojenka we wschodniej Europie jest bez większego znaczenia. Niech się nią Europa zajmie, jak tak bardzo jej zależy na Ukrainie. Ważniejsze jest, aby relacje Chin i Rosji nie zacieśniały się, nie wspominając o ich bliskich stosunkach z Koreą Północną i Iranem, które niepokoją amerykańskich wojskowych.

Ciężar zainteresowania amerykańskich elit przesunął się z Atlantyku na Pacyfik.

Z perspektywy USA Polska to taki osioł trojański w UE, jakieś państwo obok Rosji, które ma wielkie ambicje i przypisuje sobie kluczową rolę w powstrzymaniu rosyjskiego zagrożenia (którego gdzie indziej nie widać na horyzoncie), co nie przystaje do jej realnej siły.

W skrócie, przypomina Koguta z opowiadania Sławomira Mrożka, „Artysta”. Kogut chciał się nająć na lwa w cyrku i zaryczał. Przytoczmy słynną wymianę zdań dyrektora z pretendentem do roli króla zwierząt:

– *Owszem, nieźle, ale są lepsze lwy od pana. Gdyby pan się zgodził na koguta, to co innego. Wtedy mógłbym pana zaangażować*.

– *Ja dla pana przyjemności nie będę udawał ptaka – obraził się Kogut*.

Chciałabym, aby dla naszej przyjemności polscy politycy i komentatorzy podawali przez chwilę poważnych ludzi...

KAT

Od kiedy na ekrany kin wszedł „Miś” Stanisława Barei, wiemy, że są co najmniej dwie prawdy: *jest prawda czasów, o których mówimy, i prawda ekranu, która mówi: „Prastowiańska grusza chroni w swych konarach plebejskiego uciekiniera”*. Uśmiechnięta Telewizja Polska wzięła sobie te słowa do serca i w „19.30” – sztandarowym „programie informacyjnym” – prezentuje wyłącznie prawdę ekranu. Codziennie inną.

W międzywiątecznym tygodniu najważniejszym tematem, jak na państwo kolonialne przystało, były wybory w naszej metropolii – Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Niekóre programy nadawane były prosto z Waszyngtonu, a prowadził je – obiecujący niegdyś *czystą wodę zamiast propagandowej zupy* – red. Marek Czyż. Zarówno w dniu elekcji (5.11) jak i dzień po (6.11), zaprezentowano materiały o Kamali Harris i Donaldzie Trumpie. Przy czym materiały powybiorcze wyglądały raczej na sprostowania, gdyż prawda ekranu zmieniła się w ciągu doby o 180 stopni.

Bije godzina niezapomniana...

Kamala Harris musiała przeprowadzić tę kampanię w teleexpressowym tempie – miała zaledwie 107 dni. *Tu w sztabie są pewni swego. Ludzie, których widziałem na jej wiecach, widzą w niej zmianę, chcą widzieć w niej zmianę* – zagaił red. Marcin Antosiewicz, aby po chwili obwieścić, że za Harris stanęła liberalna Ameryka od Lady Gagi, Bruce’a Springsteena przez Beyoncé do Jennifer Lopez, Katy Perry, Jona Bon Jovi i Oprah Winfrey. Jej kampanię wspierało w terenie setki polityków Partii Demokratycznej, w tym Clintonowie i Obamowie. Do koalicji dołączyli też krytyczni wobec Trumpa republikanie. Harris stworzyła największą platformę wyborczą w powojennej historii kraju – ekscytował się red. Antosiewicz. *W kampanii była zaangażowana także jej rodzina: siostra, szwagier, ich dzieci i dzieci męża, a nawet pierwsza żona jej obecnego męża, którego poznała na randce w ciemno. Takiego modelu nowoczesnej rodziny Ameryka jeszcze nie widziała w kampanii wyborczej* – puentował zachwycony dziennikarz, a cytowany w materiale przyjaciel Harris, niejaki Matthew Rothschild, dodawał, że *Ameryka może na Harris liczyć, także Polska może na nią liczyć, albowiem Kamala wierzy w demokrację i doskonale zna historię drugiej wojny światowej*.

Po chwili kamera z Waszyngtonu przeniosła się do Berkley – luksusowego miasteczka uniwersyteckiego. *Tu w skromnej dzielnicy, w Berkley, na obrzeżach San Francisco, przyszła wiceprezydentka dorastała z młodszą siostrą, wychowywane przez samotną matkę, która, jak opowiada Harris na wiecach, latami musiała pracować na kupno własnego domu. Dlatego Harris podkreśla swoje pochodzenie z klasy średniej, o której interesy chce*

Prawda ekranu

Wybory w USA okiem uśmiechniętej TVP

walczyć w Białym Domu – bął Antosiewicz, nie zauważając, że za jego plecami stoi nie skromna chatka, lecz luksusowa willa rodziny Harrisów.

...zakręt historii – druga zmiana.

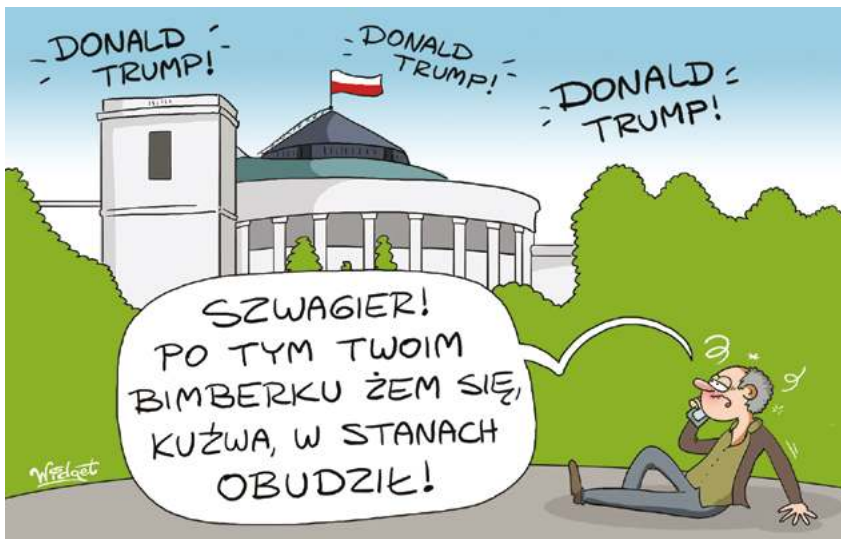
Następnego dnia red. Czyż zamiast kolejnych zachwyty miał dla Kamali Harris kubek zimnej wody. *Demokracja łądzący i to jest dość bolesne łądowanie. Na tyle bolesne, że Kamala Harris nie wyszła i nie przemówiła do wyborców. Demokracja się nigdy nie myśli – obwieścił. W sukurs przyszedł mu nie kto inny, a red. Antosiewicz, który chyba zapomniał, że niespełna 24 godziny wcześniej opiewał największą platformę wyborczą w historii. Dzień po wyborach oznajmił bez owijania w bawełnę, że szanse są mame i demokratów czekają z pewnością dwa ciężkie lata, w głębokiej opozycji. I nagle okazało się, że Kamala ma całkiem sporo wad, o których przez ostatnie trzy miesiące na antenie uśmiechniętej TVP nie mówiono ani słowa: Przez tydzień po uzyskaniu nominacji nie udzielała żadnych wywiadów. Później chodziła głównie do sprzyjających jej internetowych influencerów. Nie zorganizowała żadnej konferencji prasowej, a temat gospodarki, kosztów życia, wpisała na szczyt listy swych priorytetów dopiero tydzień przed wyborami... – oburzał się red. Antosiewicz.*

Trzeba zwycięstwu drogie torować...

Jak wiadomo demencja jest dziś powszechną chorobą – nie oszczędza nawet amerykańskich prezydentów. Jednak w TVP mamy obecnie epidemię zaników pamięci, a od red. Antosiewicza zaraził się najwyraźniej red. Witold Tabaka, który przez dwa dni kreślił widzom „19.30” obraz Trumpa.

Zwolennicy Trumpa zmienili się w jego wyznawców – obwieszczał w dniu wyborów red. Tabaka, przypominając jedną z niezliczonych wypowie-

dzi Trumpa o gangsterach ukrytych w szeregach imigrantów. Następnie zacytowano komika, który na wiecu republikańskiego kandydata orzekł, że *na oceanie jest pływająca wyspa śmieci, nazywa się Portoryko*. Red. Tabaka skwitował, że żart był rasistowski (co jest absurdalnym zarzutem, gdyż znaczna większość Portorykańczyków jest biała; czarnoskórych jest tam 12,4 proc., czyli mniej



Rys. WIDGET

niż w USA), a następnie jął lamentować nad moralnością Trumpa.

Człowiek, który ma już trzecią żonę i oskarżany jest o molestowanie, dla wielu chrześcijan jest kandydatem pierwszego wyboru – wyrokował z dezaprobatą red. Tabaka, a gdy kamera pokazywała kandydata republikanów, nachylającego się nad pulpitem w pozycji przywódcy na myśl seks oralny, zgorszony red. Tabaka dodawał: *Takie zachowanie wywołuje entuzjazm*.

Nie mieści mi się to w głowie, że brak alternatywnych kandydatów i chciwość mediów powodują to, że ludzie decydują się głosować na tego człowieka – mówił zaproszony przez dziennikarza ekspert, prof. Michał Kosiński, a red. Tabaka puentował: *Milioner z Nowego Jorku, gwiazda show-biznesu, były prezydent Stanów Zjednoczonych, ale z drugiej strony mizogin, ksenofob i osoba, która została skazana w procesie karnym. Wiele twarzy Donalda*

Trumpa i trudny wybór Amerykanów, nawet tych, którzy zwykle głosują na republikańców.

...marsz rozpoczęty, Partio prowadź!

Noc odmieniła red. Tabakę i następnego dnia o zwycięzcy myślał już zgoła inaczej.

Trump wygrał, bo prostymi hasłami odpowiadał na trudne wyzwania, co podkreślali moi rozmówcy. Tu pojawił się cytat z rozmowy: *Jak Trump był te cztery lata, wszystko poszło w dół i podatki, i benzyna tańsza*.

Już niedługo trzeba będzie zacząć realizację obietnic, wśród nich masowe deportacje, dokończenie budowy muru na granicy, obniżenie opłat za ciepło, likwidacja podatku od nadgodzin, napływów i wszystkich zasilków. Z przegłosowaniem stosownych przepisów nie powinno być problemów. Republikanie mają większość i w Izbie Reprezentantów, i w senacie, a na realizację obietnic czekają też Bliski Wschód i Europa – perorował red. Tabaka.

Nagle okazało się, że wśród fanów Trumpa są nawet czarni geje (demonstracyjnie obściskujący się przed kamerą) pracujący w sklepie z marihuaną. *Wszyscy zmagają się z trudnościami, a rząd daje pieniądze innym krajom*.

Tyle problemów można by rozwiązać, gdyby wydać te pieniądze na miejscu, np. na walkę z bezdomnością, zamiast wysyłać je na Ukrainę czy gdzie indziej – mówili trumpogeje w materiale, a reportera, o dziwo, nie zbulwersowało lekceważenie ukraińskiej „walki o wolność naszą i waszą”.

Zanim jeszcze dotrę do Gabinetu Owального, rozstrzygnę katastrofalną wojnę między Rosją a Ukrainą, i to szybko. Problem zostanie rozwiązany, i to w błyskawicznym tempie. Zajmie mi to nie więcej niż jeden dzień – powiedział Trump, co nie stanowiło powodu do zwyzywania go od rosyjskich agentów, lecz puentę materiału.

MAREK SANOWSKI

PS: Śródtytuły pochodzą z wiersza Jana Brzechwy pt. „Marsz”.

Psychoterapia w kraju nad Wisłą to przedłużenie środkowego palca matki natury wymierzonego w kruchą psychikę człowieka. Specjalistą od leczenia w tej dziedzinie może zostać nawet kosmolog z tytułem magistra.

Kryzys wiarygodności

Uciemniony trudami życia w Polsce naród coraz częściej szuka pomocy, żeby uporządkować burdel w swoich głowach. Zgodnie z Barometrem Zawodów na rok 2024 opublikowanym przez „Rzeczpospolitą”, psychoterapeutów i psychologów brakuje już w 340 na 380 powiatów. Z początkiem roku weszła w życie nowelizacja ustawy o ochronie zdrowia psychicznego, której zapisy po raz pierwszy otarły się o próbę ucywilizowania zawodu psychoterapeuty w Polsce.

Jeden z artykułów dokumentu mówi, że fachem może zajmować się osoba posiadająca tytuł lekarza lub magistra, która ukończyła podyplomowe szkolenie w nurcie o udowodnionej naukowo skuteczności w wymiarze co najmniej 1200 godzin oraz zdała egzamin certyfikujący przeprowadzony przez komisję zewnętrzną w stosunku do podmiotu szkolącego.

To dobry krok – problem w tym, że mowa o psychoterapii świadczonej w ramach opieki zdrowotnej. Zgoła inaczej mają się sprawy w prywatnym sektorze usługowym, gdzie do świadczenia usług terapeutycznych wystarczą tylko dobre chęci, szyld i numer konta bankowego. Powiedzieć, że stało się to polem do nadużyć – to grube niedoszacowanie. Szukanie specjalisty „od głowy” przypomina zwiedzanie Disneylandu po mefedronie: może doprowadzić do obłądu.

Nie jest żadnym zaskoczeniem, że wszystkie luki pozostawione przez mizernie dofinansowany system zdrowia publicznego wypełniają medycyni prywatni. Jednak o ile w przypadku – dajmy na to – stomatologii, proceder odbywa się z korzyścią dla pacjentów i bólem dla portfela, o tyle grzebanie w zrujnowanej psychice przez domorosłych naprawiaczy może doprowadzić do stanu, w którym pod deklek dopiero się zaczyna prawdziwe jasełka.

Krawat zawiąże, usunie ciążę

Dla przykładu warto wspomnieć o bijącym rekordy popularności nurcie terapeutycznym Totalnej Biologii. Na licznych stronach poświęconych tej metodzie samozwańcy terapeuci reklamują nie tylko swoje usługi, ale szkolenia i warsztaty. Chętni do „kształcenia” mogą wybierać spośród wielu weekendowych kursów organizowanych przez różnych maści wyjętych zza bram zwieracza odbytu instytutów.

Kursanci i kursantki po odbyciu szkolenia uzyskują certyfikat Konsultanta Totalnej Biologii, który poświadcza zdobycie umiejętności znajdowania konfliktu i jego rozwiązywania, wiedzy na temat różnych systemów i narządów w organizmie i – teraz najlepsze – znaczenia klanu rodzinnego dla powstawania chorób, a także doświadczenie techniki radykalnego wybaczenia. Tak, tak, Totalna Biologia jest tak totalna, że leczy wszystko: od schizofrenii przez nerwicę i depresję po ka-

Z deszczu terapii pod rynnę absurdu



połączoną ze zbiorową histerią, chętnych nie brakuje.

Każdy, kto jest w kryzysie psychicznym i chciałby sprawdzić, jakie wykształcenie i doświadczenie ma dany specjalista oraz jaki nurt reprezentuje – żeby przypadkiem nie trafić na terapię do geniusza po wyższej szkole gotowania na gazie – może się co najwyżej kąsnąć w dupę. W Polsce nie ma jednego rejestru certyfikowanych psychoterapeutów. Owszem, istnieją rejestry poszczególnych stowarzyszeń psychoterapeutycznych z prawdziwego zdarzenia, ale tych w kraju nad Wisłą jest około 50, a każde wydaje własne certyfikaty. Można zwariować, a to dopiero przedmurze chaosu.

Psychoburdel

W sytuacji braku ustawowych regulacji wspomniane stowarzyszenia wypracowały szereg wewnętrznych standardów. Ustalają one minimalną liczbę godzin szkolenia teoretycznego i superwizji oraz terapii własnej. Kłops w tym, że nawet jeśli terapeuta należy do któregoś ze stowarzyszeń, a mimo to

stosowane przez niego praktyki zahaczają o szeroko pojętą niekompetencję bądź wykaże się brakiem etyki –

najwyższą karą, jaka może spotkać delikwenta, jest wykluczenie ze stowarzyszenia. Niezadowolonemu klientowi w dochodzeniu praw zostaje tylko droga sądowa w postępowaniu karnym bądź cywilnym. Co nie zmienia faktu, że terapeuta może praktykować dalej.

Aktualnie w sejmie czekają dwa niezależne projekty, które mają usankcjonować psychoterapeutyczny hydepark. Dlaczego dwa? Bo środowisko psychoterapeutów wpadło w wewnętrzny (he, he) konflikt. Autorami pierwszej propozycji projektu są członkowie tzw. Grupy Roboczej ds. Ustawy o Zawodzie Psychoterapeuty. Grupa gromadzi 46 towarzystw psychoterapeutycznych i postuluje utworzenie samorządu zawodowego psychoterapeutów, który zrzeszałby przedstawicieli wszystkich rzekomo naukowo uznanych nurtów. Przynależność do samorządu byłaby obowiązkowa, dlatego każdy z glejtem psychoterapeuty podlegałby standardom i odpowiedzialności zawodowej. Równocześnie to samorząd wydawałby certyfikaty i wpisywał do rejestru profesjonalistów z zakresu psychoterapii oraz wprowadziłby funkcję rzecznika odpowiedzialności dyscyplinarnej. Co istotne, według Grupy Roboczej psychoterapeutą dalej mógłby zostać każdy chętny z dowolnym wykształceniem: geolog, metalurg czy aktor, byle po odpowiednim szkoleniu.

Z tymi – i kilkoma innymi – założeniami nie zgadza się zarząd Polskiego Towarzystwa Terapii Poznawczej i Behawioralnej: największej organizacji psychoterapeutycznej w Polsce i jednej z największych w Europie. Jej członkowie stworzyli własny projekt ustawy o zawodzie. Ta propozycja zakłada, że psychoterapia jest traktowana jako zawód medyczny. To oznacza ochronę pacjenta w ramach ustawy o rzeczniku praw pacjenta i prawach pacjenta, wprowadza również obowiązek kształcenia ustawicznego. Jako że do szkolenia z psychoterapii w nurcie poznawczo-behawioralnym mogą przystąpić jedynie przedstawiciele sześciu zaaprobowanych przez Ministerstwo Zdrowia zawodów medycznych – przedstawiciele pozostałych nurtów mogliby dalej funkcjonować na rynku jako psychoanalitycy. Żeby zostać wpisani na listę psychoterapeutów i świadczyć usługi w systemie ochrony zdrowia, musieliby uzupełnić wykształcenie.

Na obydwie propozycje wypinają się psycholodzy, którzy uważają, że tylko psychoterapeuta z ich dziedziny wyznaczy złoty standard psychoterapii.

Targi jasnowidzów z wróżami

Z raportu „Potrzeby i preferencje Polek i Polaków w zakresie usług psychoterapeutycznych” opracowanego przez Polskie Towarzystwo Psychologii Klinicznej i Psychoterapii EBP wynika, że 74 proc. ankietowanych jest zdania, iż ta dziedzina powinna znajdować się pod nadzorem Ministerstwa Zdrowia. Tymczasem pod koniec października w Katowicach odbyła się Konferencja Trzech Sekcji, podobno psychoterapeutycznych. W programie, obok leczenia traumy prenatalnej czy założeń diagnozy ajurwedyjskiej (połączenia lewatyw z wywarów ziołowych i indyjskich egzorcyzmów), swoje wystąpienia miały posłanka na sejm Marta Globik (PO) i Anna Grzelka – certyfikowana psychoterapeutka z Polskiego Towarzystwa Psychoterapii Psychoanalitycznej i prawniczka, członkini Grupy Roboczej. Nieśmiało można zatem założyć, że reforma polskiej psychoterapii obrała już kurs.

IDALIA DUBICKA

Many Mornings produkuje wesołe skarpetki. Twierdzi również, że każdy poranek poświęcamy na budowanie kolorowego świata, w którym najważniejsze jest, by po prostu być sobą. Jako iż rzekomy urok pstrokatek skarpet polega na tym, że ich pary są celowo nie do pary, to rzekłabym, iż wyroby przeznaczone dla seryjnych ochłajów, psychotyków i Jarosława Kaczyńskiego łączącego już w niedopasowanych butach. Książdz „Salceson” Olszewski, naciągając wyroby Many Mornings, również po prostu był sobą.

Chcemy towarzyszyć w życiowych sukcesach, podróżach, krzepić w chwilach trudnych i być dobrym omenem w momencie trywizacji. Tak, omentowe skarpetki musiały zainteresować egzorcystę. Walczył z diabłem, dostając na preferencyjnych warunkach skarpetki dla darczyńców swojej Fundacji Profeto, a ostatecznie handlował nimi na niemieckim Amazonie. Przebitka ośmiokrotna do ceny producenta. Przecież to jest doskonały, błogosławiony wręcz interes! O co tu się czeplić w naszych kapitalistycznych czasach? Ktoś kogoś zrobił w bambuko? A kto normalny chce łązić w jeblowych, niedopasowanych skarpetach i jeszcze uważa, że mu pomalują świat? Wariat! Co nasuwa mi wspomnienie: w łódzkim szpitalu psychiatrycznym Kochanówka poustawiane były śmietniki w kształcie pingwinów. Wyobraźcie sobie, że jesteście tockę pierdolnięci, oto wyrwaliście się z oddziału na szluga, a tu z krzaczorów spogląda na was pingwin.

Śpieszę dodać, że nie byłam hospitalizowana w owym uroczym zakątku. W Kochanówce była (lata 80. XX w.) i neurologia, a dziadzio Zygmunt trafił tam po wylewie. Rodzice, chcąc mi oszczędzić widoku kląpniętego nestora, zostawiali mnie w krzaczorach z ptakami pingwinami. Pedagogika zawsze była ich mocną stroną

W poszukiwaniu zielonego ludzika

– to znaczy moich starych, bo nie metalowych nielotów po trepanacji czaszek. Zastanawiam się ostatnio, komu to ja tak mocno przydepnęłam stopę i czy aby nie była ona obciążona skarpetą nie do pary. Co najniżej! Czekam na kolejną wizytę w Sądzie Rejonowym dla Łodzi-Śródmieścia (20 listopada br.), który będzie deliberował, czy pod moją kostną kopułą nie grąsjuje zielony ludzik. Jak mi uświadomiono, w czasach stalinowskich tzw. niewygodnych zsyłano do psychuszek z rozpoznaniem: schizofrenia bezobjawowa. Ja muszę być bardzo niewygodna, skoro

zaleca się dla mnie najpierw cyt. „pełne badania psychiatryczne”, a jednocześnie – „przymusowe leczenie psychiatryczne”. W dodatku podpisał się pod tym skierowanym do sądu diagnostycznym papierem psychiatra, którego nigdy na oczy nie widziałam,

a nawet nie znam. Rzekłabym – zielony ludzik. I to nie byle jaki zielony ludzik, bo profesor Piotr Gałęcki.

6 czerwca br. ministra zdrowia Izabela Leszczyna ogłosiła: *Pan profesor Piotr Gałęcki, konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii dla dorosłych, dzisiaj kończy swoją misję konsultanta, a jednocześnie jutro ją na nowo rozpoczyna, ponieważ podjęłam decyzję o powołaniu na kolejną kadencję* (cytat za: podyplomie.pl). Doskonała decyzja pani ministro, toż to już nie lekarz, a Bóg, skoro potrafi wystawić opinię prosto z chmur i bez obciążenia się pod nią podpisać. Ale przecież mówimy o długoletnim wykładowcy Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury w Krakowie. Pomysłodawcy i organizatorze Międzynarodowego Kongresu Psychiatrii Sądowej w Łodzi. Autorze książki: „Ustawa o ochronie zdrowia psychicznego – komentarz” i „Metodyka pracy biegłego psychiatry, psychologa oraz seksuologa w sprawach karnych, nieletnich oraz wykroczeń”. Faccie pełniącym funkcję zastępcy dyrektora ds. lecznictwa SPZOZ im. Babińskiego w Łodzi (rzeczona i osławiona Kochanówka). A teraz odpowiadającym ponownie – jako konsultant krajowy ds. psychiatrii – za monitorowanie standardów opieki zdrowotnej, rekomendowanie zmian legislacyjnych oraz organizacyjnych, a także opiniowanie programów zdrowotnych. I kto tu jest pierdolnięty, pani ministro Leszczyna? Bo ja jako felietonista tygodnika „NIE”, „Dziennika Trybuna” i dziennikarka polityczna czuję się niebywale



wyróżniona! Tak naraża karierę konsultanta i naukowca dla mąlego Szolca. Tak wystawiać na pośmiewisko wiarygodność Ministerstwa Zdrowia i jego programów!

Jednocześnie pragnę dodać, że jak mnie zgarniecie, to przez cały pobyt będę w pasach – szczając i srając pod siebie. Plus niech doktorek Gałęcki nie zbliża się do mnie ze swoją eksperymentalną esketaminą (prowadzi badania kliniczne w Łodzi), bo ja nawet na zwyczajną melisę mam uczulenie. Jak wam odwalę kitę w psychiatrię, to będzie większy smród niż z mojego gówna po wypiciu ćwiartki wódki żurawinowej.

IZABELA SZOLC

My, Polacy

Refleksje po 11 listopada

Naród debili – tak Józef Piłsudski pamiętnie określił Polaków.

Święto narodowe skłania do zadumy nad Polakami: nad tym, jacy są, a przynajmniej, jak na siebie nawzajem patrzą. Jest to obraz złożony, ale niekoniecznie budujący i dający nadzieję. Jak to zwykle bywa, często najbardziej czuły słuch na nastroje społeczne mają ludzie kultury, pisarze czy twórcy tekstów piosenek, które ludzie nucą sobie na przystankach autobusowych.

Dla uczczenia dnia niepodległości sięgnęłam do książki Adama Leszczyńskiego zatytułowanej optymistycznie: „No dno po prostu jest Polska”. Z podtytułem: „Dlaczego Polacy tak bardzo nie lubią swojego kraju i innych Polaków” (2017). Dzięki tej pouczającej lekturze można zobaczyć siebie niczym w zwierciadle, przy czym – jak mawiają Rosjanie – nie wiń lustra, gdy masz krzywą głowę.

Po lekturze „No dno...” wychodzi, że Polak to złodziej, menda, oszust, kłamca, ksenofob, marny naśladowca, członek narodu, który nic nie wniósł do dziedzictwa świata. A przepraszam – dodam od siebie – mamy wódkę i JP2, a także odzyskującego formę Roberta Lewandowskiego. Trochę mało na tle innych krajów i narodów.

Wszyscy chcą mnie zrobić w chuja

Mam wycięte na czole od chwili poczucia: „Żyję w kraju, w którym wszyscy chcą mnie zrobić w chuja” – ta diagnoza Krzysztofa „Grabąza” Grabowskiego najlepiej oddaje to, co myślimy o innych Polakach.

Znamienne, że aż 71 proc. ankietowanych przez CBOS w tegorocznym badaniu wskazywało, że obecnie trzeba być bardziej wrażliwym i gotowym do pomocy innym ludziom. Im bardziej w poglądach na prawo, tym częściej padały jednak odpowiedzi, że teraz trzeba się koncentrować na wal-

ce o swoje sprawy, nie zważając na innych. Prawie dwie trzecie respondentów zadeklarowało, że zdarzyło im się kiedyś za darmo działać na rzecz potrzebujących osób i wspólnot. W ciągu ostatniego roku prawie co trzeci Polak wykonywał taką nieodpłatną pracę.

Na powyższe wyniki trzeba spojrzeć dialektycznie.

Skoro lwia część ludzi uważa, że trzeba być bardziej wrażliwym, oznacza to, że obecnie tacy nie jesteśmy. Ale w obliczu agresji na Ukrainę, pandemii koronawirusa i lat rządów PiS, mającego hasłami wspólnotowymi, uznajemy, że altruizm jest dobry.

Zabawne, że za szczególnie altruistycznych uważają się piastujący stanowiska kierownicze, w naszym kraju zwykle będący karbowymi, widzącymi tabelki w Excelu zamiast ludzi, łamiący często ludzkie sumienia i prawa pracownicze.

Skądinąd dobre samopoczucie w sytuacji, gdy jest zupełnie chujowo, to też nasz wyróżnik na tle innych narodów. Prawie cztery piąte rodaków, wedle sondażu sprzed paru miesięcy, jest zadowolonych ze swego życia. Najszczęśliwsi są gorliwie religijni:

aż 87 proc. chodzących częściej niż raz w tygodniu do kościoła odczuwa satysfakcję ze swego życia. Niepraktykujący mają się dużo gorzej: jedynie 67 proc. takich osób cieszy się z życia. Wychodzi na to, że praktyki religijne, czyli klęczenie przed klechami, źródłem permanentnego zgorznienia (hipokryzja, chciwość, ekscesy seksualne), robi Polakowi dobrze. Zaiste, dziwny to naród...

Polak na obczyźnie

Co ciekawe, najbardziej kochają Polskę – nienawidząc nie tylko obcych, ale i rodaków – emigranci. Do dziś pamiętam po wielokroć powracające napomnienia, które najpierw słyshał, a potem sam powtarzał mój ojciec (przez lata pracujący na budowie w Austrii): aby nigdy nie pracować za granicą u Polaka, bo ten cię oszuka,

będzie brutalnie wyzyskiwał, a na koniec doniesie do urzędu, gdy robisz na czarno.

Polacy od przynajmniej dwóch wieków wyruszają za chlebem za granicę, bo w kraju nic dobrego ich nie czeka. Cytowany przez Leszczyńskiego Bolesław Prus wstawiał się po wielokroć za naszymi na obczyźnie, pisząc m.in.: *Od przejścia słupów, od zajęcia miejsca w pruskiej kolei żelaznej zaczyna się wyzysk, oszukaństwo, krzywdzenie na wszelkie sposoby naszych biednych emigrantów. A jednak pomimo tak straszne warunki, wśród nędzy i upokorzeń, jeszcze tam zarabiają więcej aniżeli w ojczyźnie.*

Zabawne jest, że właśnie wśród emigrantów szczególnie popularne są postawy nacjonalistyczne i pokazywanie, jak bardzo kocha się ojczyznę. Artysta szczeciński, ukrywający się pod pseudonimem Marszałek, w jednym ze swych utworów wspomina Ryszarda z Bawarii, jadącego autem na niemieckich numerach, gdzie ma naklejone koło zderzaka godło polskie i znak Polski Walczącej, kotwiczkę z napisem 1944 *pamiętam*. Jak złośliwie zauważa Marszałek: *Podobno 78 proc. Polaków by chciało gdzieś wyjechać, ale raczej na Zachód. Tam sobie pozakładają organizacje patriotyczne i na odległość będą kochać ojczyznę.*

Piewca Polski B, niejaki Hiob Dylan, w piosence „Tadek i Zdziś (Ryanair i Wizzair)”, zwraca uwagę na los emigrantów:

Jebać małe miasteczka, jebać duże i średnie.

Jebać układ i kraj, w którym jest biednie.

Nikt ich nie żegna, nikt nie będzie tęsknił.

Zdzisław i Tadeusz prekariusze wykleci.

(Nie) warto być Polakiem

Jakiś czas temu NBP wyemitował okolicznościowy banknot, a także złotą monetę, których nabywcy mogli zapoznać się z podobizną Lecha Kaczyńskiego i jego pustym sloganem: *Warto być Polakiem*.

Nie warto.

Politycy bez opamiętania wdzięczą się do wyborców w sposób urągający wszelkiej przyzwoitości. Używają wader wazeliny, ale tylko po to, aby wyruchać elektorat we wszystkie dziury. Oczywiście najwartościowisi są ci Polacy, którzy na nich głosują, a miłośnicy wrogów to skończone suzje.

Wyłaszczając exposé w grudniu ub.r. Tusk uderzył w wysokie tony: *Chciałbym podziękować Polsce. Ja jestem bardzo dumny z mojego kraju, z Polek i Polaków, także za to, że – wiecie, tak, jak już bywało w naszej historii – w kluczowej chwili potrafiłmy się nadzwyczajnie zmobilizować, wszyscy, i doprowadzić do tego, no niektórzy twierdzili, niemożliwego przełomu i dzięki wam ta kluczowa chwila stała się jakimś momentem dziejowym.*

Jarosław Kaczyński Platformę zwykł przedstawiać jako niemieckich agentów, zdrajców ojczyzny, uprawiających pedagogikę wstydu: *Naszą historię bardzo często przedstawiano w krzywym zwierciadle, zaś zwieńczeniem tego krzywego zwierciadła było opisywanie Polski jako kraju, który w istocie współdziałał z Hitlerem i jest współodpowiedzialny za Holocaust.* Każdy tu ma być dumny z dzieł naszego kraju, pamiętając to, co Prezes każe mu pamiętać, i przeczyć wszelkim haniebnym kartom historii Polaków.

Wśród narodowców, którzy od jakiegoś czasu nadają ton debacie publicznej w naszym kraju, sprawa jest boleśnie banalna. Krzyczą oni – bankowo słyszymy to każdego 11 listopada – *śmierć wrogom ojczyzny*. Każdy, kto nie odpowiada ich wizji polskości, ma w najlepszym razie wypierdalać, zanim ogolone na tyso ciule nie wezmą go na ciężkie buty z blachami w noskach.

Zaczęłam od cytatu z marszałka Piłsudskiego, ojca niepodległości w 1918 r., a następnie – od przewrotu majowego w 1926 r. – dyktatora. Ów patron niezmiernie liczby ulic w kraju miał jeszcze coś do powiedzenia o rodakach, co mi utkwiło w pamięci jako trafna diagnoza: *Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy.*

Z.J.

My na tym, że Wigilia nie będzie dniem handlowym, nic nie tracimy. Tracą korporacje handlowe. I bardzo tego nie lubią.

Ileć w ostatniej chwili kupowałem coś w Wigilię, miałem poczucie winy. Bo skoro ja się spieszę, to jak się musi spieszyć sprzedawczyni, która jeszcze z pracy nie wyszła. A przecież kobieta musi nie tylko przygotować świąteczną wieszczkę, ale i jakoś wyglądać przy święcie.

Pewna bardzo miła i kulturalna pani z kiosku z papierosami trzymała kciuki za opozycję, bo już miała dość PiS-u. Ale martwi się, że jej wybrańcy odbiorą jej wolne niedziele.

Nic z tego, co było dane, nie będzie zabrane – powiedział Tusk, kiedy obejmował urząd. Ale ofensywa korporacji handlowych przeciw wolnym od handlu niedzielom trwa w najlepsze. I chociaż zdecydowana większość z nas ma w tygodniu dwa dni wolne, liberałowie upierają się przy robieniu zakupów w niedzielę, a nie w wolną przecież sobotę. Przy czym jak zwykle dużo mówią o wolności. A dla nas wolność jest dopiero po fajrancie, kiedy nikt nam nie mówi, gdzie mamy być i co mamy robić.

Matka nie mogłaby pobyć w niedzielę z dziećmi – po to, żeby cała reszta społeczeństwa krążyła po supermarketach, kupując niekoniecznie potrzebne rzeczy, od których puchną wątroby, za pieniądze, których jeszcze nie zarobiła, jak lunatycy mrużąc oczy w niezdrowym, sztucznym świetle centrów handlowych. A przecież można poczytać książkę, iść do parku/lasu na spacer z rodziną, uprawiać sport, rozmawiać z przyjaciółmi, odwiedzać krewnych czy robić mnóstwo innych rzeczy, które nie wymagają wydawania pieniędzy i nabijania kabzy korporacjom. Istnieje nawet takie pojęcie jak *life time value* – co oznacza war-

Wolny najmity

Czy stać nas na wolną wigilię? – pyta pani redaktor w telewizji. Jak to nas?

tość towarów i usług, które zdąży sprzedać nam korporacja do czasu naszej przypuszczalnej śmierci. Dlatego staram się jak najwięcej dni w roku spędzać bez przysparzania korporacjom choćby złotych.

Obecna koalicja rządowa szła do wyborów pod hasłami obrony praw kobiet. Większość osób pracujących w handlu to kobiety i one nie chcą pracować w niedzielę. Koniec i kropka. Kiedy robię zakupy, wciąż się w tym przekonaniu utwierdzam, bo panie wylewnie dziękują za obronę wolnych niedziel w mediach.

Nic, co zostało dane... Rząd wysmażył obszerny raport o programie 500/800 plus. Raport dosłownie miażdżył ten program jako nieskuteczny, bo z jego powodu nie rodzi się więcej dzieci. Tyle że nawet prawicowy PiS w końcu uznał, że jest to program socjalny, który znacząco zmniejszył biedę. Zanim ten program wprowadzono, człowiek, który tracił pracę, nie miał co jeść – bo zasiłków dla bezrobotnych z prawdziwego zdarzenia się nie dorobiliśmy, a i ten symboliczny mało komu przysługuje. Rządowy raport dał Bogusławowi Chrabocię, naczelnemu „Rzeczpospolitej”, asumpt do na-

pisania tekstu, który wprost wzywa do wyrzucenia zasiłku na dzieci do kosza.

Przeciwnicy transferu socjalnego twierdzą nie bez racji, że nie zapobiegł on wzrostowi ubóstwa. To prawda, ale zwykła logika nakazywałaby podnieść zasiłek, a nie go zlikwidować. Inaczej wygląda to na zabijanie pacjenta razem z chorobą.

Nie ma dnia, żeby w mediach głównego nurtu nie pojawiały się artykuły, wywiady z politykami obozu rządowego o konieczności podniesienia wieku emerytalnego. Lansuje się hasło równości, żeby kobiety pracowały równie długo jak mężczyźni. Jest na to lepszy sposób niż podwyższenie wieku emerytalnego kobiet do poziomu mężczyzn: można obniżyć wiek emerytalny mężczyzn do tego, jaki mają kobie-

ty. Warto tu przypomnieć 14. postulat strajkowy (jeden z 21) ze Stoczni Gdańskiej: *Obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do lat 60 lub przepracowanie w PRL 30 lat dla kobiet i 35 lat dla mężczyzn bez względu na wiek.*

Wprawdzie premier przynajmniej, że podniesienie wieku przechodzenia na emeryturę kosztowało go utratę władzy i było błędem – ale przygotowanie propagandowe zmian trwa w najlepsze. Chodzi o to, że państwo zaczęło oszczędzać na wydatkach socjalnych, na zwykłych ludziach. Najlepiej, żeby pracowali aż do śmierci, a w każdym razie jak najkrócej pobierali świadczenia emerytalne, bo to pozwoli zrównoważyć budżet.

Pan Andrzej był na szkoleniu. Odbywało się ono w byłym Domu Partii. Było ich trzydziestu. Bezsukcesnie szukali jakiegokolwiek roboty, więc przyszli. Jakąś pani przekonywała go, żeby on, fachowiec znający się na elektryce, budowlance, hydraulice, wyrwał trawę spomiędzy płyt chodnikowych. Dlaczego? Bo po dwóch latach bezrobocia pewnie już zapomniał swój fach. Oferty były byle jakie, szkolenie o niczym. Wreszcie szef komisji rekrutacyjno-szkoleniowej pogroził palcem, mówiąc: *Jeszcze przyjdą czasy, że będziecie za kromkę chleba pracować.* Po tych słowach wszyscy kursanci szkolenie opuścili.

Pan Andrzej robi ciągle. Świątek, piątek czy niedziela. Na czarno. Mówią o nim, że jest tani. Nie chcą go ubezpieczyć, o jakiegokolwiek umowie nie ma mowy. Kiedy jest chory, leczy się sam. Nie stać go na lekarza. Teraz miasto próbuje go wyrzucić z mieszkania komunalnego, które zgodnie z prawem należy mu się po matce. Nie pracuje za kromkę chleba, ale żyje z dnia na dzień z nisko opłacanej pracy na czarno. Taki współczesny wolny najmity.

PIOTR IKONOWICZ

Życie W DOBROBYCIE

● Przeciętny Polak czy Polka, gdy widzą podawaną przez GUS średnią płacę w gospodarce narodowej, to czują, jak ich krew zalewa. W powszechnym odczuciu bowiem padające co miesiąc kwoty brane są z kosmosu. Żeby więc społeczeństwu zrobić zadość, GUS od kwietnia publikuje również medianę zarobków. Jej wysokość oznacza, że połowa pracowników w Polsce dostaje więcej, a połowa mniej niż podana kwota. Dzięki tej swojej schizofrenii wiadomo, że w maju średnia płaca w gospodarce narodowej wyniosła 8400 zł brutto, mediana zaś 6481 zł brutto. Liczby te różnią się od siebie o – bagatela – 19 proc. Większość ekonomistów już od dawna postuluje, żeby nie liczyć wydumanej średniej płacy, ale podawać medianę. Choćby dlatego, że jest ona obliczana nie z wąskiej grupy firm zatrudniających wielu pracowników, ale opiera się na danych z mikrofirm, od osób na samozatrudnieniu, jednostek sfery budżetowej, organizacji członkowskich, fundacji, stowarzyszeń, samorządów gospodarczych, partii politycznych, związków zawodowych i innych organizacji społecznych. Jeśli się więc w tej grupie śmiesznie zarabiających osób rozpuści zarobki szefów wielkich polskich korporacji i firm, to wydziej, że zarabiamy śmiesznie mało. Majowa mediana, gdyby ją przeliczyć z brutto na to, co się dostaje na rękę, daje bowiem nieoszałamiającą kwotę niespełna 4750 zł. Czyli połowa z nas zarabia mniej. Oczywiście każda statystyka ma do siebie to, że jest w stanie udowodnić wszystko. Majowe dane GUS nie mogą więc być wyjątkiem i obwieszczać, że w budownictwie kobiety zarabiają przeciętnie o 16,2 proc. więcej niż mężczyźni. Co chyba nie tyle pokazuje prymat kobiet, a raczej to, że w tym sektorze wynagrodzenia dla pracowników fizycznych płacone są w większości pod stołem. To zaś rozwała w drzazgi tak wiarygodność oficjalnych plac, jak i skuteczność Państwowej Inspekcji Pracy.

● Nie tylko to. Tramwaje Warszawskie poszukują pracowników. Dla chętnych organizują dni otwarte, podczas których można poznać szczegóły pracy motorniczego, zobaczyć tramwaj szkoleniowy i otrzymać pomoc w wypełnieniu dokumentów. To oczywiście jakieś bzdury, bo wszak najważniejsze jest, ile motorniczy zarobi. A tu zaskoczenie, bo warszawska spółka podawała średnią kwotę wynagrodzenia brutto motorniczego w III kwartale 2024 r., która zadaje kłam temu, co wyliczył GUS. Pieniądze, które przeciętny warszawski motorniczy zarabia miesięcznie, to 9692,56 zł brutto, co daje 7398,90 zł na rękę.

● Cyfry są przedmiotem zainteresowania nie tylko GUS. Bazują na nich również inspektorzy NIK. Właśnie przedstawili raport dotyczący tzw. certyfikatów ETS. Czyli cegół, czym PiS straszło Polaków przez lata. Zdaniem polityków z Nowogrodzkiej mieliśmy tak drogi prąd właśnie dlatego, że Unia zmusiła wszystkie firmy

palące węglowodorami do płacenia haraczu. PiS nie wspominało jednak, że wszystkie te opłaty trafiały nie do Brukseli, ale do budżetu państwa polskiego. Ono zaś z tytułu opłat ze sprzedaży praw do emisji gazów cieplarnianych w ramach ETS zarobiło w latach 2013–2023 ponad 94 mld zł. Większość tej kwoty – 84 mld zł – budżet pozyskał w latach 2019–2023. Kasa z ETS powinna iść na inwestycje promujące OZE i wspierające odchodzenie od paliw kopalnych. Znaczący wszelkiego rodzaju programy dopłat do pomp ciepła, fotowoltaiki, samochodów elektrycznych, termomodernizacji czy innych tego typu opcji. Ale nie szła, bo – jak to ujął Marian Banaś, prezes NIK – *z dochodów pochodzących ze sprzedaży uprawnień do emisji gazów cieplarnianych jedynie nieco ponad 1 proc. przekazano bezpośrednio na cele związane z redukcją emisji tych gazów lub zarządzaniem tymi emisjami*. Ze wspomnianych 94 mld zł ponad 12 mld zł wydano jednak w ramach założeń ETS. Co się stało z resztą miliardów, inspektorzy nie wiedzą. Pewni są natomiast tego, że *gospodarowanie środkami pochodzącymi ze sprzedaży uprawnień do emisji gazów cieplarnianych było zgodne z przepisami*. Znaczący tylko tyle, że mamy prąd najdroższy i najmniej ekologiczny w Unii, ponad 80 mld zł gdzieś się rozlało, ale ponieważ wszystko jest cacy, to od nowego roku będziemy mieli jeszcze wyższe rachunki. Prawda, że to żelazna logika?

● Powszechnie wiadomo, że palenie papierosów poprzez emisję CO₂ działa źle na klimat. Unia co prawda nie nakała obłożyć fajek opłatami za uprawnienia do emisji gazów cieplarnianych, ale polski rząd, miast wydawać szmal z ETS na zieloną energię, postanowił wykazać się klimatycznie choćby w małym zakresie. Od miesiąca podnosi więc akcyzę na papierosy i końca tych podwyżek nie widać. Jednak palacze nie powinni się załamywać. Wiceminister finansów Jarosław Neneman powiedział przecież: *Nieprawdą jest, że w 2027 r. paczka papierosów będzie kosztować 30 zł. Cena papierosów w 2027 r. będzie wynosić ok. 26–27 zł*. Ciekawe, czy za kilka lat NIK będzie potrafiła powiedzieć, na co poszła forsa z tej akcyzy?

● Problemów ze znikającymi pieniędzmi nie mają banki. Jak wcina jakiś hajs, to zawsze znajdzie kogoś, kto kasę zwróci. Tak postąpił Santander w stosunku do staruszki, na którą oszuści zaciągnęli 10 tys. zł kredytu. I choć policja stwierdziła kradzież, ale umorzyła śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy, to bank kazał kobiecie spłacać zaciągnięty dług. Oczywiście z odsetkami. Mogło do tego dojść, bo jesteśmy w Polsce, w państwie bankom nader przyjaznym. Państwie, w którym nie ma przepisów prawa mówiących, że jeżeli gliniarze stwierdzą niezawiniony przez klienta banku przekręt, to brakująca kwota staje się problemem banku, który do kradzieży swoimi procedurami dopuścił. U nas państwo o czymś takim nie pomyślało, więc trzeba było kilku lat i dwóch instancji sądu, żeby w końcu bankowi windykatorzy po kolejnym już wyroku sądu dali babci spokój.

TTJ

Rudy na wojnie z czerwonym Władza zakazała sprzedaży muchomora

Jeżeli chodzi o Hitlera, to abstenent i papierosa do ust nie brał. Ale jednak był po prostu narkomanem. Metamfetaminę zażywał w tabletkach o nazwie Pervitin. Eukodal działał na Führera uspokajająco, a w większych dawkach wywoływał euforię. Kokainę otrzymywał pod postacią kropli do nosa. Bromek i barbiturany też aplikował mu dr Morell, jego osobisty lekarz. W jadłospisie miał również zastrzyki z testosteronem oraz inne substancje hormonalne.

Jednak nie był w tym względzie egoistą, ponieważ Trzecia Rzesza to było państwo w ogóle funkcjonujące na haju. Narkotyki były szeroko dostępne i legalne, zwłaszcza na potrzeby militarne. Wehrmacht nie pił, ale się szprycował. Wymikało to z ogólnej filozofii hitlerizmu, który zakładał powstanie rasy nadludzi, co bez farmakologicznego wspomaganie nie byłoby łatwe.

Polityczny odjazd

Churchill swoją moc premiera wspomagał codziennie butelką whisky. Legenda miejska stanowi, że Lenin był grzybiarzem. W czasach pieriestrojki pojawiła się nawet supozycja, że Lenin był grzybem i rewolucją kierował pod wpływem psychodelików.

Jeśli idzie o innych przywódców wolnego i zniewolonego świata, którzy przyznali się do nielegalnego dopingu, no to Jerzy Waszyngton, ojciec założyciel Stanów Zjednoczonych, preferował marychę. Podobnie, jak i trzech innych prezydentów: Franklin, Jefferson i James Madison.

George W. Bush lubił sobie wciągnąć z rana kreskę. Bill Clinton też aplikował sobie co nieco poza seks w gabinecie oralnym. Nie wdając się już dalej w szczegóły: Boris Johnson czysty nie był. Charles de Gaulle funkcjonował na amfetaminie. Hiszpański Franco regularnie zażywał morfinę. Jelcyn pił na umór. Napoleon przyjmował opium.

Oraz nie można zapomnieć tego incydentu, kiedy Wołodimir Zełenski zapomniał wyłączyć kamerkę w swoim laptopie wtedy, kiedy akurat ćwiczył się w sztuce wciągania nosem. Rosyjska FSB w ogóle lansuje tezę, w którą wierzy Władimir Putin, uwydatniając sprawę w licznych wystąpieniach publicznych, że rząd Kijowa to feralna ćpunów. No, ale to nie musi być prawda.

W Polsce politycy jakby nie obnoszą się z tymi sprawami. Chyba że się one wynurzą przy okazji i niechący – przypomnijmy kazus senatora Piesiewicza. Generalnie tylko i zaledwie istnieje przeświadczenie słuchających politycznych wynurzeń powiązane z pytaniami *co on brał?* albo z sugestiami *chyba powinien zmienić diler*. Najbardziej podejrzewany

o przyjmowanie przesadnych dawek Red Bulla dodającego skrzydeł jest Antoni Macierewicz.

GIS kontra muchomor

Ten przydługi nieco wstęp wywołany jest ostatnim oświadczeniem Głównego Inspektoratu Sanitarnego, działającego w imieniu Rządu RP, że 1 listopada wprowadzi zakaz sprzedaży muchomora czerwonego. Substancje psychoaktywne znajdujące się w *Amanita muscaria* (muchomor czerwony) zostały wpisane na listę specyfików zakazanych.

Tym samym Polska stała się trzecim w Europie krajem kryminalizującym tego czerwonego kapelusznika, po Rumunii i – uwaga! – Holandii, gdzie marihuana,



Rys. TOMASZ WATIER

haszysz, tetra, kratom i salwinoryna dostępne są praktycznie dla dzieci.

Jak widać, władza generalnie domaga się, aby obywatele byli trzeźwi i niestymulowani, podczas gdy sama sobie folguje w tych sprawach.

Oficjalny cel restrykcji jest zasadniczo ten sam. Zawsze zdarzy się jakiś mający receptę na wszystko specjalista, który z uporem godnym i nienawiścią osobistą potrafi wyłożyć, że używka zabija.

Tak dr Eryk Matuszkiewicz w wywiadzie dla Telewizji Polsat muchomorka czerwonego obrzydzał: *Nasila się groźny trend w Polsce. W sieci roi się od ofert muchomora czerwonego. To i granie ze zdrowiem, a nawet życiem. Muchomor czerwony zażywany jest w formie suszu. Cena do 1000 zł za kg świeżego. Ususzonego sprzedają nawet za 2500 zł*. Z dalszego gadulstwa można wyrozumować, iż te grzyby, te czerwone kapelusze z białymi kropkami, to nie po to, żeby je jeść i na zdrowie korzystać. Fanaberia dla tych, co lubią pogadać z krasnoludkami albo zobaczyć, co tam u babki w zeszłym roku na imieninach się działo. Moż-

na skończyć, rozmawiając ze ścianą, albo co gorsza, rzucając się na nią z pięściami. Muchomor to nie zabawka. Jego działanie to ruletka rosyjska dla umysłu. Impulsywność, halucynacje, a nawet złudzenie latania. Przedawkowanie grozi utratą przytomności aż po śmierć przez zachłyśnięcie wymiocinami – obrazowo tłumaczył pan doktor.

Zastanawia nas, czy jest to wiedza ekspercka pochodząca z autopsji, czy lansując podobne tezy o działaniu narkotyków, specjaliści opierają się tylko na zeznaniach świadków.

Amanita Muscaria: od zabójcy much do gwiazdy

Muchomor czerwony, przystojniak pośród grzybów, przez dziesięciolecia uznawany był za śmiertelnego truciciela. Jego złą sławę utrwala już sama nazwa, która wskazuje, że zabija muchy. W gruncie rzeczy ich zresztą nie zabija, tylko poraża ich układ nerwowy. Muchy padają i wyglądają jak martwe, jednak po kilku godzinach wracają do pełnej sprawności, chyba że je ktoś zdepcze lub spali w piecu.

Muchomor czerwony nie jest przesadnie trujący. Zgodnie z różnymi kalkulacjami, aby znaleźć się na SOR, trzeba by go wtrądzić prawie 3 kg na surowo. Ta zła sława jednak spowodowała zapomnienie doniosłej roli, jaką Amanita muscaria odegrała w historii rozwoju nadświadomości europejskiej

w naszej sferze klimatycznej zasadniczo ubogiej w halucynogenną florę.

Muchomor czerwony dostarcza daleko bogatszych doznań niż alkohol. Jest łatwy w pozyskaniu, przyrządzeniu i spożyciu. Daje piorunujące efekty. Nie powoduje kaca. Na milionach kilometrów kwadratowych Syberii był jedynym znanym środkiem odurzającym. W Europie szprycowano się nim już w jaskiniach.

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W miejscowości Puchały w powiecie pruszkowskim dwuletnie dziecko zostało porażone prądem po tym, jak zlapało za wystające ze ściany przewody elektryczne. Do porażenia doszło w pomieszczeniu magazynowym. Jest to o tyle dziwne, że jednak kultura elektroinstalatorstwa w Polsce od czasów, kiedy bezpieczniki naprawiało się gwoździem, a uzimienie połączone było z siecią wodociagową, wzrosła stukrotnie. Widać nie wszędzie i nie zawsze. Chłopczyk zmarł.

■ Odnaleziono pierwsze powojenne auto wyprodukowane w warszawskim FSO: samochód Warszawa M-20 o numerze fabrycznym 000001, który zjechał z linii produkcyjnej 6 listopada 1951 r. Pojazdu tego warszaw-

ska fabryka samochodów (której już nie ma) poszukiwała w latach 70., obiecując, że wymini go na nowego Poloneza. Wtedy się nie znalazł. Tym razem pomógł przypadek. Auto zlokalizowano w Finlandii. Fińskim właścicielem Warszawy okazał się August Aaltonen, ojciec słynnego w zeszłym stuleciu kierowcy rajdowego Rauno Aaltonena, rajdowego mistrza świata. Znalazcą jest Patryk Mikiciuk, dziennikarz motoryzacyjny i współwłaściciel Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach pod Warszawą.

■ Skoro o motoryzacji mowa... Moje życie niczym saga skandynawska podzielone jest na ery Volvo. Był czas I Volvo, II Volvo aż po chlubne V Volvo – białe, kombi, turbodoładowany diesel, elegancja sama w sobie. Lecz miłość się skończyła. Rok próbowałem wcisnąć ten 33-letni rydwan znajomym z piąta. W końcu wystawiłem na internetowej licytacji za 13 tysiąków. Nie zdążyłem laptopa zamknąć, a tu SMS: połamana polszczyzna, ze kupione. Oddzwaniam, a tam szwedzki Szwed ze Szwecji! Zdjęcia, film, opis stanu

technicznego (delikatnie mówiąc średni) – nic go nie odstraszyło. – Lecę samolotem – oznajmia. Dane do umowy. Wiek? 21 lat. Prawo jazdy? Od pół roku. Dzwonię do tatusia: – Wie pan, że synalek chce przejechać 3 tys. km 33-letnim gruchotem, a jeździć nie umie? I jeszcze ta abstrakcja: Volvo z Polski do Szwecji to jak węgiel do Newcastle! A tatuś na to: – Spokojnie, on wie, co robi. Przylatuje młodzieniec w klapkach, z wodą i papierem toaletowym w podręcznym. Auto mu się podoba, bijemy targ na 9 tys. Po co mu to? W Szwecji takie Volvo rejestruje się jako „A-aktor”, czyli maszynę rolniczą, do której prawko niepotrzebne. Dzieciaki tym jeżdżą, tworząc subkulturę „a-aktorzystów”. Dałem Szwedowi dwa tygodnie na zwrot, jeżeli auto przestałoby się mu podobać. Dzwonię po tym czasie: – Sprzedane za 50 tys. koron! A ja teraz cierpię w Subaru.

■ Jak poinformował zarząd spółki Orlen w Ruchu, do końca roku mają zniknąć wszystkie kioski Ruchu, a pozostało ich w całym kraju 420. W czasach komu-

nistycznego ucisku i zniewolonej prasy, zamordystycznej cenzury, gazety i czasopisma sprzedawano w 13 tys. kiosków. Obecnie prasa jest wolna. Każdy może wydawać i pisać, co mu się podoba, tyle że nie będzie tego jak czytelnikom dostarczyć. Państwowy konserw Orlen państwa, które uważa wolność mediów za fundament demokracji, nie będzie dokładał do wolnych mediów i dystrybuował gazet w kioskach, bo to jest bardziej niż nieoptyczne.

■ Hodowcom świń wiedzie się niewiele lepiej niż funkcjonariuszom wolnych mediów. Krajowa Rada Wieprzowiny (organizacja powołana przez Solidarność Rolników, Krajowy Związek Pracodawców Producentów Trzody Chlewnej, Polski Związek Hodowców i Producentów Trzody Chlewnej, Stowarzyszenie Wieprz Polski, Związek Polskie Mięso oraz Unię Producentów i Pracodawców Przemysłu Mięsnego) biadoli, że wolny rynek nie działa. Mimo że pogłowie świń zmalało w Polsce, w pierwszej połowie tego roku o 600 tys., cena wieprzowiny spadła do dramatycznie

niskiej: 6 zł za kg żywca. I nadal spada. To nie to, że prawo popytu i podaży nie działa. Winne są niemieckie świnię, które bez barier celnych przenikają przez wewnętrzneuropejską granicę. Wartość poubojowego niemieckiego wieprza oscyluje w okolicach 1,5 euro za kg.

■ W jednym z olsztyńskich supermarketów ochroniarz ujął nastolatka na kradzież asortymentu o wartości kilkuset zł. Kiedy złodziej usłyszał, że jedzie po niego policja, wbiegł do łazienki i przedostał się nad podwieszany sufit. Uciekając, zniszczył powalę, instalację elektryczną oraz gipsowe ściany działowe. Koszty zniszczeń oszacowano na 80 tys. zł. Wychodzi na to, że taniej byłoby pozwolić się okraść, a i na pensji strażnika można by zaoszczędzić. Gdzie się podział kapitalistyczny pragmatyzm?

■ Tak jak przypuszczaliśmy, nie było zadnego przestępstwa. Nie szkodzi, że BMW za 350 tys. zł, którym jechał komendant główny policji, zostało zezłomowane w rezultacie dachowania. Prokuratura Okręgowa w Gliwi-

Do sławy na skróty

Na pytanie, po co się szprycowano i nadal daje się w kanał, ludzie władzy już nie odpowiadają. A powinni przecież przyznać, że środki psychoaktywne są dla nich tym, czym doping w sporcie. W walce o trony, stanowiska i znaczenie, podobnie jak w rywalizacji o medale, sprawa ubocznych efektów stosowania różnego rodzaju dopalaczy wydaje się nieistotna.

Gdzie celem jest błyskotka sukcesu, normalność to kula w nogi. Szary obywatel, sumiennie płacący daninę na rzecz państwa, harujący od świtu do nocy, by w weekend oddać się urokom wędkowania i smaku kaszanki z grilla, skazany jest na marność. Normalność nie inspiruje, nie szokuje, nie prowokuje. Umysł grzecznie w otchłani przeciętności.

Psychodeliki znacznie poprawiają sprawę. Nie da się sobie normalnie wyobrazić, że można usłyszeć kolory, i to za pomocą podeszew stopy, a nie błon bębenkowych. Albo że słowo „koszykówka” może mieć smak. Po zażyciu sproszkowanego muchomora smakuje ponoć jak gofry. Będąc pod wpływem, dochodzi się do przekonania, że zważyć można zapach sera.

Wszystko staje się możliwe. Przykładowo, że Kaczyński ma zмагаć się w wyborach Miss Universe, bo jego głównym atutem będzie naturalność i brak ingerencji chirurgów. A niechby z powodu rosnących cen energii sejm uchwalił, że posiedzenia będą się odbywać przy świecach. Posłowie opozycji wniosą poprawkę o dodaniu kadzidełek dla stworzenia odpowiedniego nastroju. Można też wykoncypować, żeby w nurcie nowej polityki historycznej nazwę „Bitwy pod Grunwaldem” zmienić na „Triumf pod Grunwaldem”. Albo że należy wybudować sztuczny lódowiec na Kasprowym Wierchu, żeby ratować turystykę zimową.

Osiągnąć absolut

Co więcej, ustawicznie i regularnie spożywający dzemy z muchomorów utrzymują, że bez pośrednictwa księdza doznają objawienia spowodowanego działaniem boskim. Nazywają je *niewyraźnym* lub *całkowitą utratą subiektywnej tożsamości* – co jest równie enigmatyczne jak owa *niewyraźność*. Dlatego też muchomora czerwonego tytułuje się w środowisku jego apologetów „Grzybobogiem”. Niechęć episkopatu wobec muchomora jest zatem logicznie uzasadniona.

Oznacza to tylko tyle, że wojna państwa z muchomoryzmem dopiero się rozpoczęła. Grzyb uderza w polską rację stanu, grzając cios z kapelusza. Już nie można nim handlować. Następnie pojawi się zakaz posiadania, transportowania i uprawy. W końcu – wykorzystywania jego wizerunku w bajkach dla dzieci oraz naszywkach na szkolne mundurki.

Państwo i Kościół wymyśliły sobie nowego wroga, który, o ironio, jest biało-czerwony.

ROBERT JARUGA

cach umorzyła śledztwo w sprawie spowodowania wypadku drogowego, ponieważ nie było żadnego wypadku. Zdaniem prokuratorów mogło dojść co najwyżej do kolizji. A kolizje to już nie leżą w granicach kompetencji prokuratury. Podobnie jak kiedyś, tak i teraz zgadzamy się całkowicie z tym stanowiskiem.

■ Mszczonów, perła Mazowsza, wkrótce stanie się centrum tekturowych opakowań! Brytyjski koncern Mondi stawia tam gigantyczną fabrykę. 236 szczęśliwców znajdzie zatrudnienie przy produkcji pudełek, zapewne marząc o karierze pakowacza wszech czasów. Jeśli chodzi o tekturowe pudła, to my, Polacy, możemy wszystko. Z tym damy radę, a reszta niech się schowa. Ojczyzna pudeł stoi otworem!

RJ

PS Powyższe doniesienia z lokalnych gazet należy traktować z dystansem jak plotki na imieninach u cioci. Zanim wyciągnięcie pochopne wnioski, warto poczekać na potwierdzenie z bardziej wiarygodnych źródeł. A najlepiej w ogóle się tym nie przejmować.

Izera na naszą miarę

Jak wydać pół dużej bańki, żeby zrobić dobrze Chińczykom, którzy i tak mają nas gdzieś.

Za przebudowę niewydolnych polskich linii energetycznych zapłacimy w rachunkach za prąd w najbliższych latach setki miliardów złotych. Tyle samo pójdzie na elektrownie atomowe, których budowę będą spłacały jeszcze nasze wnuki. I zamiast choć trochę zmniejszyć to obciążenie Polaków kasą z KPO, rząd Tuska uparcie realizuje pisowską mrzonkę o polskim samochodzie elektrycznym. W sytuacji, gdy sprzedaż aut na prąd wszędzie leci na pysk, wymyślony zaś w unijnym Zielonym Ładzie zakaz produkowania samochodów na ropę i benzynę już za chwilę zostanie odwołany.

Idea wiecznie żywa

Bo rząd renegotjował KPO i zostawił w nim miejsce dla Izery, choć zakładane w harmonogramie terminy i tak są nie do utrzymania. Przewidują podpisanie umów o ewentualnym finansowaniu projektu dopiero pod koniec 2025 r., a wypłatę 1 mld 114 mln euro w II kwartale 2026 r.

Według Electromobility Poland pieniądze muszą zostać wypłacone znacznie szybciej. Inaczej budowa fabryki utknie w martwym punkcie. A mówi to spółka, która przejadła 500 mln zł i liczy, iż w 2025 r. uda się jej wystartować z budową zakładu.

Brnięcie w Izere zaczęło się w październiku 2016 r. Bogaci wujkowie o nazwie PGE, Energa, Enea oraz Tauron założyli spółkę z kapitałem 10 mln zł. Spółkę nazwano Electromobility Poland, a Morawiecki powiedział, że w 2025 r. po polskich drogach będzie jeździć milion samochodów elektrycznych. W większości naszych, polskich.

Przez miesiąc EMP wypłacała pieniądze prezesowi i zarządowi. Ale ponieważ wicepremier Morawiecki na jakimś speedzie z dziennikarzami rzucił hasło, że Polska winna stać się liderem elektromobilności, w firmie uznano, że najwyższa pora zatrudnić kogoś, kto mógłby występować publicznie i mówić o dynamicznym rozwoju firmy. Utworzono stanowisko dyrektora zarządzającego i obsadzono je osobą Krzysztofa Krawczyka. Nieśpiewającego – za to bardzo mownego.

Późną wiosną przy wsparciu współpracujących z EMP w ramach jury konkursowego ekspertów, inżynierów i projektantów wybraliśmy 5 najlepszych projektów. Na tej podstawie do końca roku powstanie 5 prototypów – ruszył z deklaracjami Krawczyk.

„Późna wiosna” minęła. Na początku września spółka ogłosiła, że konkurs na projekt nadwozia zostanie rozstrzygnięty za 12 dni. A w październiku 2017 r. miał zostać ogłoszony konkurs na budowę prototypów, którego wynik mieliśmy poznać w grudniu 2018 r.

12 września 2017 r. EMP ogłosiła, że za zwycięskie zostały uznane cztery projekty. Każdy z nich przyniósł designerom nagrodę 50 tys. zł.

Potem cisza, więc Krawczyk polecał za całokształt, a zastąpił go Piotr Zaremba. W początku kwietnia 2018 r. zabrał głos prezes EMP Maciej Kość. Zdradził, że firma wciąż planuje prototyp, ale nie wiadomo, jak ma on wyglądać – za to wiadomo, że pierwsze pojazdy pojawią się w połowie 2019 r., – pozbawił się stanowiska. Zajął je człowiek odpowiadający za to, że w EMP nic się nie dzieło, czyli Piotr Zaremba właśnie.

Przez niecałe dwa lata EPM wygenerowała stratę w wysokości 2,7 mln zł. Na wynagrodzenia poszło z tego ponad 1,2 mln zł.

Nie przeszkadzało to spółce dostać od założycieli dokapitalizowania w kwocie 20 mln zł, a potem 40. Na co? Nikt nie wiedział. Pani rzeczniczka EMP uznała jednak we wrześniu 2018 r., że *upublicznienie informacji, związanych z produkcją polskiego samochodu elektrycznego, mogłoby utrudnić lub uniemożliwić skuteczną realizację wyznaczonych celów biznesowych*.

Pod koniec 2018 r. kilku posłów wystosowało w sprawie EMP interpelację. Chcieli wiedzieć, czy wciąż robi się w konia tak ich, jak i resztę Polaków.

Odpowiedź zaczynająca się słowami *biznesplan Spółki został przygotowany w oparciu o wnikliwą ana-*

lizę kluczowych trendów rynku motoryzacyjnego, badania polskiego rynku i potrzeb polskich konsumentów, wywiady z ekspertami zewnętrznymi z branży oraz analizę benchmarkową podobnych przedsięwzięć biznesowych upewniła ich, że robieni w jajo w sprawie auta na prąd byliśmy, jesteśmy i będziemy.

Niemiecki Chińczyk z Włoch

Straty EMP w początku 2019 r. liczono już w dziesiątkach milionów zł. Specjalistów od elektryki i motoryzacji na kolana rzuciła informacja, że polski samochód elektryczny będzie robiła firma niemiecka EDAG Engineering. Zatrudniła ją bowiem właśnie EMP. Dzięki temu zleceniu na jaw wyszły dwie rzeczy.

Raz – że w Polsce nie ma nikogo, kto umiałby zaprojektować samochód. Dwa – że przez 2,5 roku poza wydawaniem milionów firma kierowana przez pana Zarembę nic nie robiła. Nie licząc oczywiście prezentacji, masterplanów i snucia wizji.

Potem pojawiły się przecieki, że EMP dzięki Niemcom jednak ruszyło. Dogadani wykonawcy i podwykonawcy polskiego elektryka pochodzić mieli zatem z Chin i Niemiec. W Polsce zaś auto miałoby być tylko montowane.

Z początkiem 2020 r., prezes EMP Piotr Zaremba, który przez tytuły prorządowe zaczął być określany *polskim Elonem Muskiem*, ogłosił, że mimo wybrania kilka lat temu karoserii, wzornictwem polskiej elektrobryki zajmie się włoska pracownia Torino Design: *jedna z najbardziej renomowanych pracowni stylistycznych na świecie, która ma na koncie kilkaset projektów dla największych producentów motoryzacyjnych na świecie, zarówno marek premium, jak Ferrari, McLaren czy BMW, jak i producentów marek budżetowych, m.in. Fiata*. Nikt nie wie, skąd te marki wzięli PR-owcy z EMP, bo turyńska firma współpracowała dotąd z rosyjskim Kamazem, chińskimi SAIC, BAIC, Chery, FAW czy indyjskimi koncernami Tata i Mahindra.

Chwilę potem Zaremba znów zabrylował w mediach. Tym razem jako zbawca polskiej gospodarki. Zapowiadał, że

przybędzie u nas 15 tys. miejsc pracy: Nasz kraj ma wielu zdolnych inżynierów, projektantów, naukowców, ale ludzie ci zbyt często i zbyt wcześnie wyjeżdżają do pracy za granicę, bo nie ma projektów, przy których mogliby się rozwijać. Bez zażenowania mówił to facet zamawiający wszystko za granicą.

Po czym wciskał te same bajki co ponad trzy lata wcześniej.

Kolejne lata upływały pod znakiem prezesury Zaremby i serii koncepcji lokalizacyjnych, z których wyłoniło się Jaworzno, gdzie na okoliczność postawienia fabryki wykarczowano parę lat temu las. Istotne było też to, że EMP otrzymała od państwa ćwierć dużej bańki w roku 2021 i drugie tyle w 2022, co łącznie z wcześniejszymi 70 mln zł od zakładających EMP spółek energetycznych czyniło firmę bogatą nader.

Najzabawniejsze przy państwowym wsparciu było jednak to, że polski samochód elektryczny zamie-

nił się w elektrycznego Chińczyka. EMP nawiązała jednak współpracę z właścicielem Volvo, koncernem Geely, który to gigant elektromobilności zająć się miał montażem chińskich elektryków w Polsce.

Dotowanie trupa

Po 15 października 2023 r. okazało się, że koncern Geely nie chce już współpracować z EMP. Dowiedział się bowiem, że projekt Izera nie będzie kontynuowany przez obecny rząd. Chińczycy się mylili. Co prawda na początku ktoś z okolic Tuska skontatował, że polski rynek samochodów elektrycznych jest zbyt mały, aby utrzymać fabrykę, która musiałaby konkurować z największymi producentami na świecie. Nie wspominając już o tym, że montaż aut na prąd ze sprowadzonych z Chin podzespołów nie ma żadnego sensu ekonomicznego. Ale spółki EMP nie zlikwidowano.

Po odwołaniu Zaremby obowiązki prezesa EMP pełnił Paweł Poneta. W maju na czele Electromobility Poland stanął niemający dotychczas nic wspólnego z branżą autkową były prezes Ruch SA Piotr Regulski. Nie minął nawet miesiąc, a Regulski został odwołany, a obowiązki szefa EMP znów pełnił Poneta. Spółka ogłosiła konkurs i od września jej prezesem jest Tomasz Kędzierski.

Na finansowaniu EMP tracili wszyscy. Jaworzno dostało ponad 320 mln zł na dociągnięcie infrastruktury do miejsca, gdzie ma być montownia. Mnóstwo tej kasy już wydano. Miasto podpisało pięć umów z wykonawcami na budowę sieci wodno-kanalizacyjnej na 100 mln zł. W marcu Jaworzno podpisało wartą ponad 227 mln zł umowę na rozbudowę sieci drogowej prowadzącej przecież donikąd.

Oczywiście zarząd i pracownicy EMP przez cały ten rok ciężko pracowali. Co robili, nie wiadomo, bo budowa zakładu nie ruszyła, Geely zaś od miesiący krygowało się niczym panienka. I wiedziało, co robi.

Na początku października Unia wymyśliła bowiem wysokie cła na sprowadzane z Chin do Europy auta elektryczne. Plany KE miały na celu ochronę sektora motoryzacyjnego i przyciąganie nowych inwestycji, co miało wspierać konkurencyjność unijnych producentów na globalnym rynku. Oczywiście Chiny też podniosły cła na europejskie samochody, ale Pekin okazał się cwańszy od Brukseli. Bo już od paru lat wzorem Koreańczyków i Japończyków jął budować w Europie montownie, dokąd w paczkach będą przyjeżdżały poskręcane podzespoły, które po wsadzeniu ich pod karoserie i dokręceniu opuszczają firmę jako produkt ze wszech miar europejski. Chińskie montownie stoją już na Węgrzech, Słowacji i w Hiszpanii.

Wzmocnienie pozycji europejskich firm motoryzacyjnych coś chyba Brukseli nie wyszło. Bo zamiast wspierać swoich, państwa UE rozpoczęły rywalizację o pozyskiwanie chińskich inwestorów. Pekin już wykorzystuje te podziały, co prowadzi do sytuacji, w której inwestycje ograniczają się do montowni, i to na dodatek w krajach, które nie głosowały za cłami. Polska zaś głosowała.

Większość zysków pozostanie więc w Chinach, nie przekładając się na korzyści dla rynku europejskiego, w tym polskiego. Dokładnie to dzieje się z EMP i Geely. Chiński koncern szachuje bowiem Polskę zrobieniem montowni w Hiszpanii. A tamtejszy premier Pedro Sanchez jest zainteresowany inwestycjami chińskiej motoryzacji. Oczywiście Chińczycy mogliby dotrzymać podpisanego partnerstwa z EMP, ale pod warunkiem, że wydamy 8–9 mld zł – z czego, o ironio, ponad połowa miałaby pochodzić z unijnego KPO – by zrobić dla nich zakład montażowy. Najzabawniejsze, że za takim rozwiązaniem optuje nie tylko prezes EMP – czyli firmy, która nigdy nie powinna istnieć – ale i część rządu. Który nie wie, dzieć czemu dzielnie realizuje pisowską elektryczną fantasmagorię.

TOMASZ BOROWIECKI

Cud na szynach

Warszawa doczekała się nowej linii tramwajowej. Sensacja na miarę podróży kosmicznych Elona Muska! Nareszcie imprezowicze Miasteczka Wilanów mogą wracać z melanżu na Placu Zbawiciela nie taksówką, a bolidem ZTM. Rozkład jazdy dopasowano specjalnie pod nich: pierwszy kurs już nad ranem. Szkoda, że barman nie ma takiego guzika za kontuarem, żeby przywołać pierwszy pojazd, i zaraz przed zamknięciem lokalu zaprosić wszystkich do wesołego tramwaju, jak do taksówki.

Ale nie tylko imprezowicze skorzystają – tramwaj to cudowna alternatywa dla mercedesów i lexusów. Wreszcie baronowie kredytu hipotecznego i książęta SUV-ów będą mogli z dumą zasiąść w plastikowym fotelu i przemknąć przez miasto z szybkością... cóż, zamiast deklarowanych 25 minut rumak na

ILUSTR. PAWEŁ FERENC

przy Rakowieckiej są rozryte jak na polu bitwy, ale nie poddałem się. Jestem sprawny, nie jeżdżę na wózku – dałem radę i znalazłem tajemniczy, dyskretnie oznakowany przystanek! Wsiadłem i ruszyłem na podbój Miasteczka Wilanów!

A w środku? Normalka – ludzie jadą, gapią się przed siebie, a na każdym przystanku ktoś z aparatem pstryka zdjęcia, jakbyśmy jechali do Cannes. Brakuje tylko czerwonego dywanu i szampa. Siedem kilometrów torów zasługuje na pełną oprawę medialną.

Poza tym nie ma się do czego przyczepić. Jaki jest tramwaj – każdy widzi. Jazz – eleganci, polski produkt, prosto spod igły, aż się chce z dumą wsiadać i chwalić znajomym, że już się jechało. 40 minut z centrum i już możesz się wypuścić na tartanowe alejki Miasteczka Wilanów i poczuć się jak burzuj w wersji demo.

Jak już człowiek tak się rozkręci tramwajowo, chciałby pojechać dalej, dalej, jeszcze kawałek.

kańcy Przysuchy chyba mają coś lepszego do roboty, niż do stolicy jeździć. Ktoś w urzędzie najwyraźniej uznał, że dla takich przysuskich autochtonów najlepszym rozwiązaniem będzie siedzenie w domu przy piecu.

Nie tylko Przysucha oberwała. Nawet Płock, z całymi swoimi 123 tys. mieszkańców, dostał po łapach. Płock przez ostatnie lata stracił połączenia między innymi z Przasnyszem i Grodziskiem Mazowieckim.

Tylko na Mazowszu w weekendy nie kursuje 75 proc. ledwo ocalałych połączeń. Do roboty jeszcze dojedziesz, ale do lekarza? No niestety – zapomnij. Seniorzy, szczególnie babcie – bo to właśnie one są najbardziej narażone na wykluczenie transportowe – mogą nam pomachać.

W Polsce jeszcze w 2014 r. funkcjonowało 788 tys. linii komunikacji autobusowej, podczas gdy w 2020 r. liczba ta spadła do 480 tys.

W latach 1991–2015 zlikwidowano około 3658 km linii kolejowych w skali całego kraju. Taki mamy klimat. A ludzie? Niech tam zostaną, gdzie są, albo polecą na miotle.

No, ewentualnie dojadą busikiem. Tak, to właśnie wynalazek zza wschodniej granicy, słynna „marszrutka”, stanowi często jedyny środek transportu publicznego w kraju nad Wisłą. Przyjedzie albo nie? Ludzie stłoczeni jak śledzie, wygoda i integracja. Cud transportowy środka Europy XXI w.

Ach, pamiętam jak nie tak dawno czekałem na przystanku kilkadziesiąt kilometrów pod Kielcami, kawałek w bok od głównej szosy. Czas mijał, trzy busy z rzędu nie przyjechały, a następ-

nych nie było w rozkładzie. Zapadał wieczór. Siedziałem na krzywej ławce pod wiatą, modląc się o cud i żeby pieprznął we mnie piorun, bo burza była tęga. W końcu pojawił się autobus, ale po drugiej stronie szosy. Brnąc przez deszcz i kałuże, niczym bohater melodramatu – dopadłem do drzwi i z ulgą poprosiłem zdumionego kierowcę: *jeden normalny bilet, dokądkolwiek pan jedzie...* Tak trafilem do Krakowa zamiast do Kielc.

Polska to nie Czechy, gdzie pociąg dociera nawet do najmniejszej dziury zabitej deskami. Nie jest to może Pendolino (też mają), ale swojski motoracek, który dojedzie wszędzie. Byłe prowincjusz kupuje sobie bilet do Pragi, wsiada jak panisko do pociągu byle jakiego, a na większej stacji przesiada się na innego. Pierwszego, który przyjedzie. Miejscówka? Niepotrzebna. Ktoś się zagapił i musi jechać następnym za pół godziny? Bez obaw. Wsiadasz i jedziesz. Przejrzystość, prostota i punktualność jak w szwajcarskim zegarku.

A skoro znowu o Szwajcarii mowa – tam to dopiero mają rozmach! Nawet na wysokości 2500 m n.p.m. można się spodziewać pociągu co godzinę, a kilkanaście minut opóźnienia podmiejskiej kolejki jest tematem do sensacyjnego artykułu w prasie! Austria, Niemcy, Włochy? Kolej publiczna to wygoda, na którą może liczyć zarówno mieszkaniowiec wielkiego miasta, jak i miasteczka.

A u nas? Na samym Mazowszu aż 65 proc. gmin nie ma dostępu do transportu kolejowego.

Kochani, nic dziwnego, że otwarcie 7 km nowiutkiego toru tramwajowego w niemal dwumilionowym mieście traktowane jest niemal jak lot na Marsa, ale z gęścią ustawionymi przystankami. Urzędnicy dygoczą z emocji, a mieszkańcy z nabożnym podziwem patrzą, jak dumny symbol miejskiej nowoczesności przetacza się po torach.

Spyta ktoś: *A prowincja, reszta kraju? Znać to powiedzenie: Czep się tramwaja?* No właśnie!

PRZEMYSŁAW KRAJEWSKI

Czep się tramwaja!

szynach pędzi niemal dwa razy dłużej, ale umówmy się – opóźnienie jest znakomitą okazją do dyskretnego zerkania i pokazywania światu nowego szwajcarskiego zegarka.

Sam prezydent miasta z pompą i uśmiechem zasiadł w tramwaju!

Często jeżdżę – pochwalił się. Ja też. I nigdy go nie spotkałem! W przeciwnieństwie do kanarów. Ale jeśli ktoś z Was zauważy prezydenta Warszawy dojeżdżającego do pracy, proszę o zdję-

cie! Podobno ostatnio często też bywa poza stolicą. Zastanawiałem się dlaczego. Teraz domyśliłem się, że testuje transport miejski w innych aglomeracjach.

Tak jak prezydent Warszawy, postanowiłem i ja – zwykły szary słoik – przetestować nową linię. Wprawdzie oznaczenia przystanków na stronie ZTM zostało przygotowane niczym na grę terenową, a okolice torowiska

Ech... do Garwolina? Może do Przysuchy? Ale tu dupa błąda, szyna sina! Koniec trasy, wysiadka. Bo, kochani, jeśli chcielibyście opuścić metropolię i udać się w ostępy Mazowsza autobusem albo pociągiem, to wasz optymizm zasługuje na medal naiwności.

Otóż wraz z końcem sierpnia 2021 r. taki powiat przysuski stracił bezpośrednie połączenia z Warszawą. Powód? Kto by się nad tym pochylał. W końcu miesz-

Kolejny raport tego samego Instytutu „Ageizm w Polsce – podsumowanie eksperymentalnego badania terenowego” z 2022 r. wykazał, że kandydaci do pracy mający poniżej 30 lat otrzymywali zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną średnio dwukrotnie częściej niż osoby po 50. roku życia. Na domiar złego, według Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności, przeciętny czas poszukiwania zatrudnienia przez bezrobotnych 50 plus wynosi blisko 16 (!) miesięcy. 40-latkowie szukają roboty średnio 5,5 miesiąca.

Wóz i przewóz

Smoka i pół dziewicy temu, kto udowodni, że brak odpowiedzi na aplikację to wina wieku kandydata. Od pewnego czasu przyjęło się, że do CV nie należy dołączać zdjęcia. To oficjalne stanowisko. Nieoficjalnie wiadomo, że dobra foto to połowa sukcesu. O ile w przypadku fizis retusz może zdziałać cuda, o tyle z samym wiekiem łatwo nie jest. Na forach internetowych wśród dobrych rad i praktyk szlifowania życiorysu pod oferty pracy złotą zasadą jest, by nie wpisywać daty urodzenia. Zabieg prosty jak łyknięcie flaszki wina, ale efekt mizerny. Wbrew obiegowej opinii rekruterzy aż tak głupi nie są i szybko dojdą, ile słów liczyłbyś sobie kandydat, gdyby go przeciął – chociażby na podstawie dat ukończenia edukacji czy chronologii zdobytego doświadczenia. Rezygnacja z wpisania danych jeszcze bardziej pograża potencjalnego pracownika, pozostaje on więc między młotem beznadziei a kowadłem dramatu.

Oczywiście telefon może nie zadzwonić z bardzo wielu powodów – nieprzejrzyste CV, duża liczba zgłoszeń kandydatów bardziej dopasowanych do stołka, nietrafione oczekiwania finansowe – ale nie ma co się oszukiwać, to smród naftaliny załatwia sprawę.

Spróchniałym jest też łatwiej wylecieć z roboty. Ageizm trudno udowodnić. Fortunnie dla firm art. 39 Kodeksu pracy chroni tylko osoby, którym brakuje do osiągnięcia wieku emerytalnego czterech lat (lub mniej) – jeżeli okres zatrudnienia umożliwia im uzyskanie prawa do emerytury. Co prawda jest też art. 183a Kodeksu pracy, który stanowi o *równym traktowaniu* pracowników w zakresie *nazwizywania i rozwiązywania stosunku pracy, warunków zatrudnienia, awansowania, dostępu do szkolenia* i tak dalej, bez względu na *pleć, wiek, niepełnosprawność, rasę, religię* i tym podobne historie, ale i na to pracodawcy mają sposób. Zwolnionym można zostać z miliona powodów, a szczególnie popularnym i wyjątkowo mało problematycznym rozwiązaniem jest

Ojcowie i matki sukcesu

Pracodawcy przyznają, że nie wybierają dojrzałych pracowników z obawy o ich niedyspozycję – co w wolnym tłumaczeniu oznacza pogarszający się wprost proporcjonalnie do PESEL-u stan zdrowia ewentualnie nabytego cielca. Kolejną przeszkodą jest rzekomy brak rozeznania bardziej zaawansowanych w rozkładzie biologicznym roczników w nowoczesnych technologiach, co być może było dobrą wymówką 20 lat temu, a obecnie wydaje się równie kuriozalne jak zarzut braku kwalifikacji do obsługi papieru toaletowego. Prawda leży gdzieś indziej i prezentuje się mało elegancko.

Młody szef czy menedżer nie chce mieć pod sobą dobrze (a często lepiej) wykształconego pracownika z większym doświadczeniem. O ironio, wszystko to w dobie hiperpoprawności politycznej... Poza przestrzeleniami szeroko rozumianych korporacji i pracy zza tzw. biurka jest jeszcze gorzej. O ile kiedyś, spadając ze służbowego stołka,

można było znaleźć schronienie za kilka groszy na bułkę i opłacenie rachunków w branżach usługowych, bodaj na przysłowiowej kasie, o tyle od czasu piętrzących się z wielu powodów kosztów pracy znalezienie fuchy w gastronomii czy handlu bez statusu ucznia lub studenta (za którego do 26 roku życia nie trzeba płacić składek na ubezpieczenie społeczne) graniczy z cudem. Nawet jeśli ktoś zjadł zęby i kręgosłup, zasuważając latami między sklepowymi półkami, dla pracodawcy jest wciąż mniej opłacalną inwestycją niż student czy uczeń bez doświadczenia. Owszem, rotacja młodych może i większa, ale za to można na nich ponarzekać i idzie zaoszczędzić. Nie bez znaczenia pozostał także napływ taniej siły roboczej z za wschodniej granicy. Sorry, taki mamy klimat.

Wszystkim równo, każdemu...

Co na państwo? Otóż trochę gówna. Projekty aktywizacyjne dla osób 50 plus, finansowane za ciężkie pieniądze z funduszy europejskich, najczęściej kierowane są do długotrwale bezrobotnych bez kwalifikacji zawodowych, co już dyskwalifikuje sporą grupę zainteresowanych.

Poza tym obejmują one bony szkoleniowe i staże. Praktyka staży sama w sobie jest interesująca – przechowalnią i maszyną półdarmowej siły roboczej, bo nikt po stażu nie zagwarantuje zatrudnienia, ale za to delikwenta można przerzucić na kolejny staż. Co prawda pracodawcy, którzy zatrudnią 50-lletniego wycierucha z bezrobocia (ale tylko do 60. roku życia!), mogą za tę łaskę skorzystać z dofinansowania do jego wynagrodzenia, ale nie może ono wynieść więcej niż 50 proc. płacy minimalnej miesięcznie. A do tego trzeba później zatrudnić człowieka – już bez wspomagania państwa – na okres od sześciu do 12 miesięcy. Krótko mówiąc: słabo opłacalny biznes.

Za młodych na emeryturę (i śmierć głodową) rządzący zachęcają do otwierania własnych interesów, lecz patrząc na żywotność jednoosobowych działalności gospodarczych w Polsce, niewesoła to perspektywa. Co zatem robić? Czeakać, obserwować, a będąc w lesie sprawdzić, czy gałąź pod linę nie jest aby spróchniała. Złamania w pewnym wieku zrastają się znacznie gorzej.

IDALIA DUBICKA

Wapno w trybach gospodarki

Macie 35 lat lub więcej i wywalili was z roboty? Macie z głowy.

Nie zna życia ten, kto nie doświadczył redukcji etatów. Pół biedy, jeśli nieszczęście dopadnie człowieka poniżej trzydziestki. Z odpowiednią prezencją, zarówno w procesie rekrutacyjnym, jak i w przypadku jego braku, można sobie pomóc daniem dupy. Im wyższy PESEL, tym dalej w las – tam można nazbierać jagód i grzybów na handel, ewentualnie poszukać gałęzi do powieszenia swojej nikomu niepotrzebnej osoby. Na pocieszenie przygębionym bezrobotnym można odnotować, że choć w tej jednej dziedzinie panuje równouprawnienie płciowe: próchna, bez względu na płeć, nie chce zatrudniać nikogo. Więc jak straciłeś pracę przed czterdziestką – albo, nie daj boże nieistniejący, po – nie musisz się już martwić o emeryturę. Cokolwiek byś zrobił, i tak będzie gówniana. O ile w ogóle uda ci się wyrobić lata pracy.

Ejdźmy

Ageizm (od angielskiego *age* – wiek) to dyskryminacja ze względu na metrykę – w tym przypadku zmurzała. Czyli zjawisko społeczne polegające na lekceważącym bądź nierównym traktowaniu osób starszych w różnych sferach życia. W odniesieniu do rynku pracy określenie „starszy” jest pojęciem względnym i nie dotyczy tylko osób w wieku przedemerytalnym lub tych na emeryturze. Potraktowania z butą można doświadczyć już w okolicach czterdziestki. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Dyskryminacja ze względu na wiek na polskim rynku pracy – diagnoza” (2021 r.) wynika, że tego miodu posmakowało 4 proc. pracowników w wieku 40–49 lat. Interesujące oferty pracy najczęściej skierowane były do osób młodszych. Pracę, o którą ubiegała się osoba 40 plus, przeważnie dostawał kandydat ze świeższym PESEL-em. Zdarzało się nawet, że na rozmowie rekrutacyjnej osobom w wyżej wspomnianych widelkach zasugerowano wprost, że są za stare (choć tak nie wolno).





WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Na karę czterech lat i dwóch miesięcy pierdzenia w pasiak skazał sąd w Ostrołęce (Mazowieckie) ksiądz Mirosław T. oskarżonego o spowodowanie wypadku, ucieczkę z miejsca zdarzenia i niedzielenie pomocy rannej 16-latce. Do zdarzenia doszło w lutym 2021 r. w miejscowości Dudy Puszczańskie w gminie Łyse. Kierujący Hondą proboszcz jednej z parafii w gm. Myszyniec potrafił nastolatkę, wskutek czego dziewczyna doznała ciężkich uszkodzeń ciała, które biegli ocenili jako realnie zagrażające życiu. Klecha został zatrzymany i doprowadzony do prokuratury kilkanaście dni później. Wyrok w sprawie zapadł 29 października. Oprócz kary pozbawienia wolności sąd orzekł wobec oskarżonego dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych oraz zadośćuczynienie na rzecz pokrzywdzonej w wysokości 60 tys. zł. Prokuratura zapowiedziała złożenie apelacji od wyroku, gdyż zdaniem śledczych kara jest zbyt niska.

➤ Na podstawie interpelacji posłów Polski 2050 ustalono, że Krajowa Administracja Skarbowa w ciągu pięciu lat wydała 5 mln zł na etaty dla kapelanów. W jednostkach administracyjnych KAS służbę pełni ośmiu duchownych, w tym jeden od 2019 r. przebywa na urlopie bezpłatnym. Uposażenie zasadnicze duchownego o statusie funkcjonariusza Służby Celno-Skarbowej określa się na podstawie rozporządzenia i może ono wynosić od 5714 zł do 9925 zł. Dodatkowo ksiądz ma prawo do nagrody rocznej i jubileuszowej. Rok temu ich koszty wyniosły 1,4 mln zł, w 2022 r. – 1,2 mln zł, a w 2021 r. – 1 mln zł. I od razu przyjemniej płacić podatki...

➤ Dykasteria ds. Ewangelizacji przedstawiła maskotkę, której zadaniem będzie promocja obchodów Roku Świętego 2025. Luce (z języka włoskiego „światło”), bo tak ją nazwano, nawiązuje do japońskiej mangi: ma niebieskie włosy, a w oczach wzór pielgrzymich muszli. Ubrana jest w żółtą kurtkę z logiem Roku Jubileuszowego, ubłoczone buty, a na szyi ma różaniec. Maskotka to projekt artysty Simone Legno, który angażował swoją markę w obchody Miesiąca Dumy LGBT i współdziałał przy produkcji gadżetów erotycznych. Lepsza zabawa maskotką niż książkowym kropidłem.

➤ Mieszkańcy dwutysięcznego Węgłirca w woj. dolnośląskim skarżą się na cennik opłat, jakie pobiera za usługi sakramentalne ksiądz Andrzej Jarosiewicz z Parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa. Za mszę pogrzebową rodzice zabulili 900 zł, rodzice dzieci przystępujących do pierwszej komunii są zobowiązani do uiszczenia kwoty 800 zł od każdego dziecka. Za wypominki należy zapłacić 50 zł, a każde zaświadczenie, jakie wystawia ksiądz, to koszt 30 zł dla interesanta. Parafianie twierdzą, że ceny są zbyt wysokie, a gdy oferują klesze inne sumy, słyszą, że mniej dać nie można. Sekretarz biskupa legnickiego ks. Tomasz Kołodziej zapytany przez lokalne media o opinię w sprawie stwierdził, że kwestie opłat za dokumenty kancelaryjne i usługi religijne pozostają sprawą otwartą do ustalenia między petentem a duszpasterzem. My przypomniemy, że ateizm jest za darmo.

➤ Konfederacja wciąż walczy o zatrzymanie inwestycji Lidla w Gietrzwałdzie. Przypomnijmy: w niewielkiej miejscowości pod Olśtynem ma stanąć centrum dystrybucji niemieckiej sieci. Według katolickiej legendy w 1877 r. Matka Boska miała przemówić w Gietrzwałdzie do dwóch dziewczynek po polsku. Podczas konferencji prasowej 8 listopada poseł Włodzimierz Skalik zaapelował do władz Gietrzwałdu, a także do szefów korporacji, w skład której wchodzi Lidl i Kaufland, aby nie wjeżdżali do miejscowości, by zachować nadal charakter maryjnego pięknego sanktuarium, duchowej stolicy Polski. Wojciech Siński z komitetu politycznego Konfederacji dodał, że święty Mikołaj nie kupowałby w Lidlu. A może Matka Boska Gietrzwałdzka dogadałaby się z Fatimską? Wtedy można postawić Biedronkę.

KLECHA

Więści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Książęta Kościoła i dworskie intryki

W polskich kinach 8 listopada pojawił się film „Konklawe” na podstawie książki o tym samym tytule autorstwa brytyjskiego pisarza Roberta Harris (napisał też m.in. „Autora widmo”, którego zekranizował Roman Polański). Tytuł nie jest zmyłką: to historia zmyślonego wprowadzenia, ale osadzonego w ludożarce podobnych do obecnych realiach wydarzenia. Po śmierci przypominającego Franciszka papieża kardynałowie zbierają się, by wybrać nowego. Harris przedstawia konklawe jako wyrafinowaną grę purpuratów zawiązujących sojusze i zwalczających się nawzajem po drodze do papieskiego tronu. Wiadomo, że tak jest, choć autor traktuje słabości kardynałów z dużą dozą wyrozumiałości, tak że można momentami uwierzyć, że chodzi im o coś innego niż tylko o władzę i pieniądze. Zdaje się, że rzeczywistość jest o wiele bardziej brutalna i pozbawiona metafizyki, niż to się pisarzom śniło. Zresztą sam autor przyznał, że jeden z kardynałów powiedział mu, że chciałby, żeby prawdziwi hierarchowie byli choć trochę tacy jak główny bohater „Konklawe”.

Widmo konklawe krąży nad Watykanem. Kondycja fizyczna papieża pozostawia wiele do życzenia, co widać gołym okiem i czego on sam nie ukrywa.

Franciszek nie należy jednak do miękkich zawodników: główka pod białą piuska pracuje na pełnych obrotach i ani myśli rezygnować jak poprzednik. Żeby zabezpieczyć kolejne wybory – tzn. żeby następca kontynuował jego linię – produkuje kardynałów na potęgę.

Wybiera takich, co do których ma przekonanie lub pewność, że będą głosować na kandydata podobnego do niego.

Franciszek niedawno ogłosił nazwiska 21 kardynałów, którym wręczy czerwone ciuszki w grudniu. Ale ostało się 20, bo jeden zdecydował, że nominacji nie przyjmie. Indonezyjski biskup Paskalis Bruno Syukur poprosił papieża, żeby ten nie mianował go kardynałem, a Franciszek prośbę przyjął. Niedoszły purpurat motywował swoją decyzję *pragnieniem dalszego rozwoju w życiu kapłańskim, w służbie Kościołowi i ludowi Bożemu* – ale to trochę tak, jakby pisarz nie przyjął Nagrody Nobla, żeby móc rozwijać się pisarsko. Dwa lata temu miała miejsce podobna sytuacja: nominacji nie przyjął belgijski biskup Lucas Van Looy. Chodziło o to, że *niezbyt stanowczo* reago-

wał na przypadki nadużyć seksualnych podległych mu księży. Belg był po osiemdziesiątce, więc bez prawa udziału w konklawe, ale Indonezyjczyk ma dopiero 62 lata.

W miarę jak wizja nowego konklawe staje się coraz bardziej realna, walka kardynalskich frakcji zaostrza się. Trudno uwierzyć, że przedstawiciel kleru z własnej nieprzymuszonej woli oddał przepustkę do kościelnej elity. W tym towarzystwie nikt nie jest bez winy i kamień na każdym się znajdzie. Nie każdy jest odporny na szantaże i presję psychiczną. Najslabsi odpadają.

Rezygnując z czerwonego biretu, Syukur zrezygnował też z wymiernych korzyści. Każdemu kardynałowi należy się kardynalska emerytura w wysokości 5 tys. euro. Trudno się dziwić, że o nominację tak zabiegał abepe Marek Jędraszewski, metropolita krakowski.

Oprócz emerytury kardynał może spodziewać się też licznych zaproszeń do prowadzenia uroczystości, bo obecność takiego dostojnika podnosi rangę wydarzenia. Nie wypada oczywiście wypuścić emnencji z pustymi rękami. Jest się zatem o co bić.

Jędraszewski nie doczeka już awansu, bo osiągnął wiek emerytalny i niedługo wszyscy o nim zapomną, co będzie dla niego największą z możliwych kar. Musi się zadowolić krajową emeryturą biskupią, której i tak może pozazdrościć większość stypendystów ZUS-u.

Upokorzył nieco Franciszek swojego poprzednika, Benedykta XVI. Gdy ten odszedł na emeryturę, dostał uposażenie emerytowanego biskupa Rzymu, czyli 2500 euro – mniej niż kardynałowie. Watykańscy specje od finansów i prawa uznali, że w dniu wyboru na papieża opuścił kolegium kardynalskie, więc jako papież senior nie może dostawać należnej im emerytury. Nawet swojego wykiwali.

W związku z cięciami finansowymi papież przyciął pensje kardynałom pracującym w Kurii Rzymskiej. Tamtejsi purpuraci zarabiają około 5000 euro miesięcznie, a Franciszek pozbawiał im trochę dodatków, co da symboliczne kilkaset euro na łebka. Dodatkowo mieszkający w Rzymie kardynałowie często korzystają z bezcen lub całkiem za darmo z luksusowych apartamentów należących do Watykanu. Były sekretarz stanu (watykański premier) Tarcisio Bertone ma prawie 700-metrowe mieszkanie, które wyremontował swego czasu za bagatelne 300 tys. euro. Nie byłoby afery, gdyby nie wyszło na jaw, że część z tych pieniędzy pochodziła z konta fundacji rzymskiego szpitala leczącego dzieci. Po nagłośnieniu sprawy kardynał te drobniaki oddał.

Defraudacje to w Watykanie rzecz tak codzienna jak msza. W ubiegłym roku za sprzeniewierzenie pieniędzy i nadużycie urzędu na pięć lat więzienia został skazany kardynał Giovanni Angelo Becciu, dawniej prominentna postać w Kurii Rzymskiej. Skazał go trybunał watykański, bo państwo to ma swój własny wymiar sprawiedliwości. W jego przypadku w grę wchodziłby setki milionów euro. Na razie nie siedzi, bo się odwołuje. Papież pozbawił go przywilejów kardynalskich, czyli np. udziału w konklawe. W związku z tym Becciu żądał od włoskiego tygodnika „L'Espresso”, który ujawnił jego przekręty, 10 mln euro odszkodowania za straconą szansę zostania papieżem. Gdyby ktoś pytał, ile warte są klucze św. Piotra, to ma odpowiedź.

WIARA CZYNI CZUBA

1. Wśród wielu skarbów nowego Kongresu USA jest też pastor Mark Harris – nowy republikański deputowany z Karoliny Północnej. Pogląd pastora Harris na rolę kobiet: *W całym Piśmie Świętym jest tylko jeden tytuł nadany kobiecie: „pomocnica”*. Pastor Harris ma też przemyślenia godne ministra Czumka: *W naszej dzisiejszej kulturze dziewczęta są uczone od szkoły podstawowej, że powinny dążyć do kariery, do tego, żeby być niezależnymi od kogokolwiek lub czegośkolwiek*. Pastor ubolewa, że nikt nie pyta, czy jest to zdrowe dążenie dla społeczeństwa? Czy jest to najzdrowsze dążenie dla naszych domów? Czy jest to najzdrowsze dążenie dla naszych dzieci? Na pewno: dzieci, które się nie urodzą, rzadko chorują.

2. Rozpoczął się proces ośmiu osób oskarżonych o podżeganie do zabójstwa Samuela Paty'ego – paryskiego nauczyciela historii, któremu cztery lata temu oberznął głowę czeczeński terrorysta. Paty zaprosił

uczniów do dyskusji na temat ataku na „Charlie Hebdo”, ilustrując ją m.in. karykaturami proroka publikowanymi w tygodniku. Jedna z uczennic opowiedziała ojcu, że nauczyciel wyrzucił ją z klasy, kiedy pokazywał bluźniercze obrazki. W rzeczywistości Paty nie wyrzucał muzułmańskich uczniów z klasy, tylko pozwolił im nie brać udziału w zajęciach, a to akurat dziewczynisko nałgało w domu, żeby ukryć fakt, że wylali ją z innej lekcji za złe zachowanie. Tatuś, Brahim Chni-na, rozpoczął przeciw nauczycielowi kampanię internetową, która wciągnęła innych oskarżonych i zakończyła się atakiem oszalełego Czeczeńca.

3. Hiszpański Trybunał Konstytucyjny orzekł, że Papieskie, Królewskie i Czcigodne Niewolnictwo Najświętszego Chrystusa z La Laguna – męskie bractwo katolickie – naruszyło zakaz dyskryminacji ze względu na

pleć, odmawiając przyjęcia kobiety. Trybunał stwierdził, że *choćby działania, z których skarżąca jest wykluczona, są aktami kultu religijnego, nie wyklucza to możliwości, że działania te mogą mieć również wpływ społeczny lub kulturowy, bo duża liczba publicznych wydarzeń religijnych w Hiszpanii jest częścią historii i kultury społecznej*. Kościół kat. zawsze domaga się prawa do korzystania z wszystkich dobrodziejstw liberalnej demokracji bez przestrzegania jej praw. Hiszpański trybunał mu powiedział, że musi wybrać: przyjemność mieć czy cnotę zachować. Bravo!

4. Katolicki portal informacyjny CNA opowiada o „przyjaznym zakładzie”, który zawiari arcybiskup Los Angeles José Gómez i kardynał Timothy Dolan z Nowego Jorku przed finałem amerykańskiej ligi bejsbola. Otóż wierni będący jednocześnie kibicami zebrali 200 tys. dolarów, a purpuraci założyli się, która diecezja je dostanie. Wygrali Dodgersi z Los Angeles, New York Yankees byli drugimi, więc 120 tys. pójdzie na katolickie szkoły w LA, a pozostałe 80 do szkoły im kard. O'Connora w NY. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że kler katolicki wszystko robi za pieniądze wiernych – ale żeby uprawiać za nie hazard i jeszcze się tym chwalić, to spore osiągnięcie.

MOŻE STRACIĆ PRACĘ!
W MOJEG SZKOLE
NIKT NIE CHCE
CHODZIĆ NA RELIGIĘ!
CO ROBIŹ?!

ZROB JAK JA:
ZAPISZ SVOJE
DZIECI...



Rys. OBYWATEL JANEK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Środowiska liberalno-lewicowe spór wokół aborcji przedstawiają jako kwestię światopoglądu. Postulują jej dopuszczalność na podstawie decyzji parlamentu i społecznego konsensusu. Warto pamiętać, że społeczny konsensus w III Rzeszy panował wokół eksterminacji całych narodów.

ks. Janusz Chyła, X, 5 listopada

■ W okresie burzliwego dojrzewania chłopcy kształtowani i wychowywani są w szkołach

razem z dziewczętami. Dziewczęta dojrzewają wcześniej i są bardziej doświadczone w wielu dziedzinach życia, dlatego narzucają swoje dziewczęce postawy i zachowania swoim kolegom.

ks. Franciszek Glód, X, 4 listopada

■ Walka z ociepleniem klimatu, ideologia gender czy ideologia LGBT zrodziły się w USA i dlatego tak ważne jest to, jakie wartości wyznaje urzędujący prezydent tego kraju (...) Donald Trump jako pierwszy urzędujący prezydent Stanów Zjednoczonych wziął osobiście udział w Marszu dla Życia w Waszyngtonie w 2020 r. (...) Warto też odnotować jego wpis na dawnym Twitterze o błogosławionym ks. Jerzym Popieluszcze (...). Jest to wyraz jego szacunku dla wiary katolickiej, który z całą pewnością jest lepszym prognozą dla nas wszyst-

kich niż lewicowa pod każdym względem kandydatka demokratów, która do walki o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych poszła pod sztandarem walki o prawo do zabijania nienarodzonych dzieci.

dr Jolanta Hajdasz, Radio Maryja, 7 listopada

■ Obecnie obserwujemy w wielu dziedzinach życia swoistą rywalizację kobiet z mężczyznami, nawet w niekwestionowanej dotychczas funkcji mężczyzny w przekazywaniu życia.

ks. Franciszek Glód, X, 7 listopada

■ Ideologia LGBT wywodzi się z antychrześcijańskich, antyhumanistycznych i ateistycznych korzeni. Jest jasne, że ludzie promujący te idee dominują w instytucjach w Ameryce, Unii Europejskiej, w redakcjach i w rządach. Chrześcijaństwo jest dla nich sobą

w oku. (...) Promotorzy tych wszystkich nowoczesnych ideologii są bardzo bogaci i chcą zubożyć masy, a potem narzucić im, co mają myśleć, jak się ubierać, co jeść, gdzie jechać na wakacje, czy mogą korzystać z samolotu, czy nie. Ubezwłasnowolniają ludzi, odbierając im środki finansowe umożliwiające im samodzielne działanie.

kard. Gerhard Müller, Radio Maryja, 3 listopada

■ Mamy do czynienia z systemową chrystianofobią, prześladowaniem ze względu na wyznawaną wiarę. (...) Słyszymy o dziesiątkach takich przypadków, gdzie księża są na ulicach czy w budynkach atakowani, dlatego że są katolikami, duchownymi. To jest zbieranie burzy, która jest zasiewana przez mainstreamowe media, przez mainstreamowych polityków od wielu lat. To są celowe artykuły w mediach, które

mają powodować nienawiść do duchownych, do Kościoła katolickiego. To jest celowe podszuwanie przez polityków, którzy cały czas w swoich wypowiedziach szydzą z Kościoła, (...) wzywają do opitowywania Kościoła, a później zostają ministrami sportu, jak w przypadku Sławomira Nitrasa.

Dariusz Matecki, Radio Maryja, 4 listopada

■ Programowe, zaplanowane sianie nienawiści wobec wierzących, a zwłaszcza „opitowywanie” Kościoła katolickiego przynosi śmiertelne plony. Rządzący „demokraci walczący” chcą jednak jeszcze większych igrysk. Niech nasz Pan, Jezus Chrystus, otoczy swoją miłością śp. księdza Lecha Lachowicza. I by siewcy tej zbrodniczej nienawiści się opamiętali...

Zbigniew Ziobro, X, 9 listopada

KLECHA

Partia Demokratyczna płaci za chodzenie do łóżka z wielkim biznesem

W nieuchronnym powyborczym procesie polowania na winnego demokracji wykazują się daleko idącą fantazją. Moim ulubionym kandydatem do ściecia za to, że świat znowu wpadł w łapy Donalda Trumpa, jest George Clooney, który „wypchnął Bidena z wyścigu”, więc to wszystko jego wina, bo Biden by na pewno wygrał.

Plutonomia

Clooney nie był oczywiście jedynym, ani nawet pierwszym, który wyzwał Bidena do ustąpienia. Jego tekst „Kocham Joe Bidena. Ale potrzebujemy nowego kandydata” ukazał się w „New York Times” 10 lipca. 28 czerwca – prawie dwa tygodnie wcześniej – w tym samym „NYT” pojawił się wstępniak, sygnowany przez „radę redakcyjną”, zatytułowany „Chcąc służyć krajowi, prezydent Biden powinien opuścić wyścig”. Jak zgadują, ideowi demokraci są bardziej skłonni zrezygnować z oglądania filmów Clooneya niż z czytania „NYT” – biblii postępowej Ameryki – więc lepiej się obrazić na akroira.

Konkurencyjna grupa zawiedzionych demokratów wini z kolei Bidena – za to, że wycofał się za późno albo że w ogóle startował i nie dał partii szansy na szerokie prawyboły, które wyłoniłyby kandydata z realną szansą na pokonanie Trumpa.

Kłopot polega na tym, że w tej partii jest tylko jeden taki kandydat. Który ubiegał się o nominację dwa razy – i za każdym razem został uwalony przez partyjną elitę. W tym roku (jak podejrzewam, z ulgą) nie startował, bo układ polityczny to wykluczał – najpierw urzędujący prezydent był oczywistym kandydatem, a później, kiedy opadł w środku wyścigu, regulacje dotyczące finansowania de facto ograniczały wybór do jego zastępczyni, której nazwisko widniało na funduszu wyborczym.

Teraz demokraci mają przed sobą jedno zadanie: znaleźć nowego Berniego Sandersa. Mają na to trzy lata. Nie będzie łatwo, zważywszy iż obecny Bernie wykuwał się przez 83 lata. Ale jest to jedyny kierunek, który może ocalić partię przed stałą marginalizacją.

W niesławnym memo Citibanku z 2005 r. bankowi analitycy przedstawili wąskiej grupie najbogatszych klientów różową wizję plutonomii –

Miliarder zawinił, aktora powiesili

systemu polityczno-gospodarczego, gdzie wzrost gospodarczy jest napędzany i w dużej mierze konsumowany przez nielicznych bogatych, co jest możliwe dzięki temu, że w ich rękę spoczywa cała władza. Teza była taka, że system jest doskonały i w zasadzie nic mu nie zagraża. Jedynie niebezpieczeństwo analitycy Citigroup dostrzegali w anachronicznej zasadzie, że *nisko rozwinięta siła robocza ma równą siłę głosu z bogatymi*. Kiedy memo przeciekło do mediów, pojawiły się optymistyczne opinie, że plutonomia idzie na dno; że wyborcy uświadomią sobie siłę swego głosu i konflikt interesów, jaki dzieli ich z elitami, i wywalą system.

Jak to się zatem stało, że dwie dekady później ci właśnie wyborcy żyjący ze sprzedawania swojej pracy za fistaszki garście wciąż bogacących się miliarderów, zagłosowali w przeważającej masie właśnie na miliardera? Znanego z obniżania podatku dla najbogatszych, a także z nieuczciwości wobec kontrahentów i z niechęci do wykończonych przez najbogatszego człowieka świata, który z wyzysku pracowników zrobił swoją strategię firmową?

Najważniejszą odpowiedź na to pytanie daje – a jakże – Bernie Sanders.

Ból jedzonych psów i kotów

Nie powinno dziwić, że Partia Demokratyczna, która porzuciła klasę robotniczą, odkryła, że klasa robotnicza ją porzuciła – napisał Sanders, wzburzając niejaki oburzenie w partyjnych elitach; tych samych, które spędziły całą swoją karierę, chodząc do łóżka z wielkim biznesem, przyjmując wielomilionowe datki na kampanię i liczone w setkach tysięcy honoraria za występy w salach konferencyjnych ekskluzywnych hoteli.

Klasa robotnicza jest wściekła i ma prawo być wściekła – mówił Bernie w ostatnim wywiadzie w CNN. 60 proc. ludzi pracy żyje od wypłaty do wypłaty, podczas gdy ci na szczycie mają fenomenalnie dobrze. Mamy najwyższy poziom ubóstwa dzieci wśród krajów rozwiniętych. 50 lat temu realna płaca tygodniowa, po uwzględnieniu inflacji, była wyższa niż dziś. Trzy osoby w tym kraju mają dziś więcej majątku niż uboższa połowa społeczeństwa. To jest trwający od półwiecza transfer bogactwa z dołnych 90 proc. do górnego jednego procenta. To nie jest wina Bidena, to jest wina Trumpa, to się dzieje od 50 lat.

Recepta Berniego jest tyleż nieskomplikowana, co – na dzień dzisiejszy – nierealna: przestać uwzględniać życzenia wielkiego biznesu



linii frontu republikańskiej wojny domowej i narodzin prezydentury Trumpa”. Alberta pisze to z pozycji republikanina z krwi i kości: jest szczerym konserwatystą, żarliwym prezbiterianinem, synem pastora i generalnie prawnikiem, który ubolewa nad tym, że Partia Republikańska z partii wartości rodzinnych stała się partią łapania za cipę.

Ale widzi też inną zmianę: przez pokolenia Partia Republikańska była partią „country clubów”, czerpiącą swe witalne siły z wpływowych przedmiotów. Ale z czasem zamożniejsi i lepiej wykształceni wyborcy stawali się coraz bardziej postępowi kulturowo i zaczęli przepływać na stronę demokratów. I w tym samym czasie demokraci porzucili swoje tradycyjne skupienie na kwestiach pracy, godnych zarobków, praw związkowych – i w ten sposób stracili sporą część „niebieskich kołnierzyków”, ludzi pracy fizycznej, którzy przerzucili się na republikanów. A w tym roku tłumnie poszli za Trumpem.

Podobne zauważenie wygłosił w wieczorne wyborczym CNN David Axelrod, ulubiony spin doktor Obamy, twórca strategii kampanii 2008 r.: *Demokraci stali się partią wykształconych profesjonalistów z bogatych przedmiotów. Teoretycznie nadal czują swoje zobowiązanie wobec ludzi pracy i ciągle się starają walczyć o ich prawa – ale podchodzą do nich jak misjonarze; tak jak Margaret Mead do tubylców.* (Mead to amerykańska antropolog, badająca ludy Oceanii). *Demokraci mówią swoim wyborcom: chcemy pomóc wam, żebyście byli bardziej jak my. To implikuje, że jeśli pracujesz rękami, to w jakiś sposób jesteś gorszy, mniej ważny. Tymczasem ludzie, którzy tworzą nasz kraj swoją ciężką fizyczną pracą, zasługują na godność i szacunek.*

Axelrod dodał, moim zdaniem trafnie i jakoś tam sprawiedliwie, że Kamala Harris próbowała w kampanii okazać ten właśnie szacunek – ale nie miała dość czasu: *to musi być coś więcej niż ćwiczenie uprawiane przez 90 dni.*

David Axelrod jest skądinąd autorem najmałdrzejszego zauważenia dotyczącego strategii wyborczej, jakie zdarzyło mi się usłyszeć: *Ludzie będą głosować na kogoś, kogo nie lubią. Głosowali na Nixona, a nikt nie lubił Nixona. Ale ludzie nie zagłosują na kogoś, kto ich nie lubi.*

Dla porządku: nie uważam, żeby Kamala Harris była kandydatką emanującą antypatią; wręcz przeciwnie, była wręcz uroczą (niektórzy twierdzą, że za bardzo). Ale ten protekcyjny, misjonarski ton, który opanował elity Partii Demokratycznej, jest, z punktu widzenia klasy ludowej, niewybaczalny.

To także uwaga do naszej „uśmiechniętej kolicji”: jeśli chce, żeby ktoś z niej wygrał wybory prezydenckie, dobrze byłoby przestać pokazywać, co myśli o tych, którzy na nią jeszcze nie zagłosowali.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

w programie Partii Demokratycznej. Zaważyć o podniesienie płacy minimalnej do poziomu minimum egzystencji, uznać, że opieka zdrowotna to prawo człowieka, wziąć za ryj koncerny ubezpieczeniowe i farmaceutyczne, wprowadzić regulacje wspierające związki zawodowe, ułatwiające przystępowanie do związków. Przyjąć prawo, które zmusi miliarderów do płacenia uczciwych podatków.

Dlaczego zatem ludzie pracy zagłosowali na faceta, który na pewno nie zrealizuje ani jednego z tych planów?

Donald Trump – odpowiada Sanders – *powiedział im: „czuję wasz ból, wiem, że cierpicie, i wiem, jak to wyjaśnić”. Wyjaśnienie jest totalnie bzdurne – imigranci, którzy zjadają wasze psy i koty.*

Ludzie, którzy nielegalnie przechodzą przez granicę, nie są źródłem problemu; prawdziwy problem jest w tym, że mała grupka ludzi na szczycie ma całą ekonomiczną i polityczną władzę. I trzeba powiedzieć ludziom pracy: *wieźmy się za nich, wieźmy się za grupy specjalnych interesów i stworzymy gospodarkę, która pracuje dla wszystkich. A to się nie zdarzy, jeżeli nie pozbędziemy się wielkich pieniędzy z polityki, tak aby miliarderzy nie mogli już kupować wyborów.*

Amerykańska jatka

Problem rozvodu Partii Demokratycznej z amerykańską klasą robotniczą ma też inny wymiar.

Czytałam ostatnio książkę Tima Alberty, zatytułowaną „Amerykańska jatka: W pierwszej

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Jedną z najważniejszych obietnic zwycięcy ostatnich amerykańskich wyborów – Donalda Trumpa – było zakończenie wojny na Ukrainie. *Gdybym był prezydentem, [zakończyłbym] tę wojnę w jeden dzień. To zajmie 24 godziny. Doprowadzę to do końca. To łatwe – obiecał Trump, dodając, że nie będzie czekał na formalne zaprzysiężenie i sprawą zajmie się dzień po wyborach.* Trumpa jeszcze nie zaprzysiężono, a już złamał pierwszą obietnicę – rasowy polityk.

★ Ujawnione przez „WSJ” plany dotarły już do Rosji i oburzyły gospodarza popularnego programu „Wieczór z Władimirem Solowjowem” na antenie Rossija 1. *Nie będziemy się targować o nasze konstytucyjne terytoria. Możemy z Trumpem przedyskutować, czy zajmiemy Berlin* – oznajmił Solowjow.

★ Zakończenie wojny na Ukrainie wisi jednak w powietrzu, a plany ekipy Trumpa ujawnił już dzień po wyborach „The Wall Street Journal”. Zakładają one zachowanie przez Rosję dotychczas anektowanych terytoriów, zablokowanie członkostwa Ukrainy w NATO i utworzenie strefy zdemilitaryzowanej wzdłuż całej linii frontu. Do ostatniego punktu z obawą odnosi się na łamach „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha: *Mało prawdopodobne jest, aby do strzeżenia ewentu-*

alnej linii rozejmu Donald Trump chciał wysłać amerykańskich żołnierzy, ryzykując ich bezpośrednie starcie z Rosjanami. Bardzo możliwe natomiast, że tę rolę będzie chciał powierzyć m.in. Polakom. Nie trzeba pisać, że byłoby to dla Polski gigantyczne ryzyko, nawet gdyby odbywało się to w ramach misji pokojowej, posiadającej międzynarodowy mandat. Nie powinniśmy się na to w żadnym wypadku godzić.

★ W stolicy Azerbejdżanu, Baku, odbył się coroczny szczyt klimatyczny COP29. Polskę reprezentował prezydent Duda, który jak zwykle nie powiedział niczego ciekawego, jednak zdecydował się na heroiczny gest – odmówił ustawienia się do wspólnego zdjęcia. Jak „nieoficjalnie” dowiedziała się Polska Agencja Prasowa, Duda nie chciał znaleźć się na fotografii z prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką. Gospodarz szczytu, prezydent Azerbejdżanu İlham Alijew, który w wyborach regularnie notuje przeszło 80 proc. „poparcia”, a władzę odziedziczył w 2003 r. po ojcu Hajdarze – wieloletnim pierwszym sekretarzu Komunistycznej Partii Azerbejdżanu – jakoś Dudzie nie przeszkadzał. Hipokryzja to znak rozpoznawczy polskich polityków.

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com

REKLAMA

Prof. Piotr Kimla i Eliza Sarnacka-Mahoney
Po wyborach w USA

Parada kłamców
– wyznawcy religii smoleńskiej

Interesy Szopy
z ludźmi Morawieckiego

Wojciech Kuczok
jak co tydzień o piłce

tygodnikprzeгляд.pl

P

prof. Piotr Kimla i Eliza Sarnacka-Mahoney
Po wyborach w USA

Parada kłamców
– wyznawcy religii smoleńskiej

Interesy Szopy
z ludźmi Morawieckiego

Wojciech Kuczok
jak co tydzień o piłce

Aleksander Kwaśniewski
POLSKA MOŻE BYĆ
W PIERWSZEJ GRUPIE.
TYLKO MUSI TEGO CHIEĆ

Byłem murzynem, ale nie grałem w kosza. Za to piszę o koszykówce.

Wspomnienia z czasów niepoprawności

Jak byłem młody, też byłem Murzynem i grałem w kosza – przechwalał się prezes Ryszard Ochódzki, oglądając w telewizji popisy amerykańskiej grupy sportowo-rozrywkowej Harlem Globtrotters. Po wypowiedzeniu tej kwestii zrzucił szlafrok i przemienił się w ciemnoskórego koszykarza, który zaczął demonstrować różne sztuczki.

Film „Miś”, z którego pochodziła ta scena, zyskał miano kultowego: oglądany jest przez kolejne pokolenia telewizorów i internautów, a wiele powiedzonek, jak choćby to, że *jeśli jest zima, to musi być zimno*, weszło do języka potocznego.

Afrolublinianin

Koszykarz, który zagrał w „Misiu”, był bardzo popularny w Polsce, nawet zanim wystąpił w filmie Stanisława Barei. Wówczas, w latach głębokiej komuny, był jedynym czarnoskórym koszykarzem w polskiej lidze. Kent Washington zakontraktowany został przez Start Lublin; w jaki sposób klub rozliczał się z zawodnikiem niewymienialnymi złoćkami, nie mam pojęcia. W każdym razie musiało mu się jakoś opłacać, bo w Lublinie występował przez trzy lata, a następnie przeniósł się do Sosnowca i w tamtejszym Zagłębiu grał kolejne dwa lata.

Pojawienie się w Lublinie Afroamerykanina, który w czasach niepoprawności politycznej nazywany był Murzynem, wzbudziło sensację w całym mieście. Do hali sportowej MOSiR wałyły tłumy kibiców i niekibiców. Kilkakrotnie napór ludzi był tak mocny, że polecały szyby w drzwiach wejściowych. Ludziska jeszcze nigdy nie widzieli Murzyna na własne oczy, mieli więc nareszcie tę okazję. Żal było z niej zrezygnować.

W jaki sposób Kent Washington trafił do Polski? Tak samo, jak dzisiaj trafiają do nas amerykańscy sportowcy, tyle że teraz grają za prawdziwe pieniądze. Mało tego, że grają w klubach, są nawet reprezentantami Polski. Nie ma z tym problemu.

Za moich młodych lat – a przypadały one właśnie na czasy gry Kenta Washingtona w lubelskim Starcie i w „Misiu” – nasze paszporty spoczywały w sejfach władz bezpieczeństwa i wydawane były tylko w razie wyrażenia przez nie zgody na wyjazd zagranicę. Po powrocie należało je zwracać. Do głowy nikomu nie przyszło, że można mieć nie tylko jeden, ale dwa lub trzy różne paszporty i trzymać je w domu. W sporcie jest to szczególnie popularne, bo ułatwia życie. Paszport UE ma szczególną cenę, bo dzięki niemu można nie tylko swobodnie podróżować po Europie, ale także podejmować w niej pracę. Z pewnym zdziwieniem przeczytałem, że polski dokument jest jednym z silniejszych na świecie – to znaczy pozwala na podróżowanie bez wizy do bardzo dużej liczby państw.

Mały, ale słynny

Wracam do Kenta Washingtona. Oczywiście starał się o grę w swoim kraju, marzyła mu się NBA, bo w Ameryce marzy o tym każdy chłopiec jeszcze w łonie matki. Niestety, Bozia poskapiła mu nieco centymetrów: ze wzrostem niewiele ponad 170 cm nie było łatwo gdzieś się załapać, choć w tamtych czasach przed rozgrywkami nie stawano jeszcze wygórowanych wymagań. Już, już wydawało się, że zaczepi się w Los Angeles Lakers, niestety złapał kontuzję i trzeba było szukać czegoś w Europie. Nie znalazł w Szwecji ani innych zachodnich krajach. Wówczas przypomniał sobie, że swego czasu zagrał w pokazowym turnieju w Lublinie i poznał tam trenera Zdzisława Niedzię. Odszukał numer telefonu, zadzwonił i wkrótce lądował na warszawskim Okęciu, które wówczas przypominało bardziej barak hurtowni warzyw niż międzynarodowe lotnisko.

O rolę młodego Ryszarda Ochódzkiego Kent Washington nie musiał się starać na castingu. Był wówczas nie tylko jedynym czarnoskórym koszykarzem w Polsce, ale w ogóle jedynym takim sportowcem występującym i trenującym w PRL. Konfrontacja ekipy filmowej i koszykarza zaczęła się od pewnego dyskomfortu. Reżyser spodziewał się raczej czarnego jak smoła dwumetrowca, podczas gdy Washington, nie dość, że okazał się dość mikry, to wyglądał bardziej na Mulata, niż Murzyna. Koszykarz liczył

natomiast, że sztuczki rodem z Harlem Globtrotters wykonywać będzie piłką, jaką zwykle gra na boisku, ale widocznie ekipie nie udało się takiej kupić, więc dano mu coś w rodzaju dużej plastikowej zabawki.

I tu prawdziwa ciekawostka: scena z „Misia” i słowa *Jak byłem młody, też byłem Murzynem i grałem w kosza* rozbawiają nas do dziś. Kent Washington za cholerę nie może zrozumieć, co w tym śmieszne. Widocznie nadwziewanie i Afroamerykanie mają zupełnie różne poczucie humoru.

Washington przeżył w PRL stan wojenny, ale nie ma związanej z nim traumy. Owszem, godzina milicyjna także jego dotyczyła. Patrole wojskowe, jeśli do niego się zbliżały, to jednak nie po to, aby go legitymować, ale po autograf, bo zdobył sobie naprawdę dużą popularność. Z Polski wyjechał do Szwecji, tam jeszcze pograł 12 lat, a później zajął się trenerką.

Czy Sochan głosował na Lichocką?

Dożyliśmy takich czasów, że czarnoskórka koszykarka lub koszykarz w reprezentacji Polski nikogo nie dziwią. Za to losy Jeremy’ego Sochana w NBA śledzą wszystkie media. Nawet te niesportowe. Jest tak popularny, że zastanawiam się, czy w ogóle jest sens szerzej prezentować jego osobę. Krótka więc dla tych, którzy jakoś uchowali się bez wiedzy o koszykarzu: urodził się w Stanach, wychował w Wielkiej Brytanii. Jego matka, Aneta Sochan, jest Polką, była koszykarką Polonii Warszawa, ojczym także Polakiem, a ojciec Ryan Williams też grał w koszykówkę. Z tego wynika, że Jeremy nie miał wyboru. Musiał zostać koszykarzem.

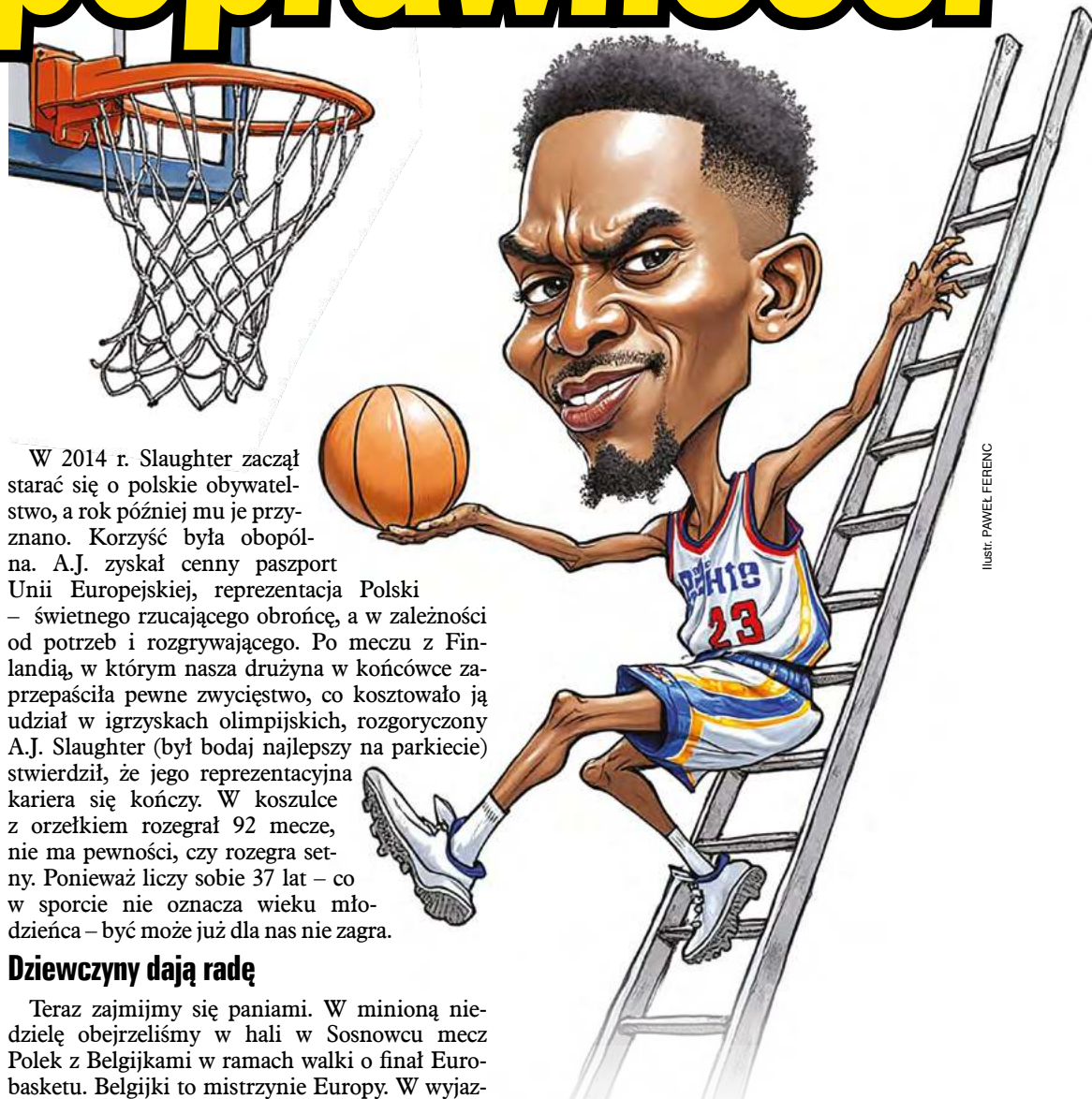
O jego sławie niech świadczy fakt, że rezolutna posłanka PiS

Joanna Lichocka poinformowała w socjalmediach, iż Sochan zagłosował na Donalda Trumpa, a nie na lewicową Kamalę Harris. Informację upiększyła zdjęciem Jeremy’ego wrzucającego głos do urny. Potem okazało się, że fotografia pochodziła z wyborów w Polsce.

Sochan nie informował, na kogo oddaje głos w amerykańskich wyborach prezydenckich i czy w ogóle w nich uczestniczył. Może po wyjaśnieniu tej sprawy Lichocka poinformuje nas, że Sochan głosował na nią. Owszem, Jeremy jest dość ekstrawaganckim facetem, ale żeby głosować na Lichocką?

Jeremy Sochan znalazł się wśród tych szczęśliwców, których podczas draftu – tego współczesnego targu niewolników – wybrała drużyna San Antonio Spurs. Teraz w wiadomościach sportowych dowiadujemy się, że zarówno ta drużyna, jak i Sochan grają w kratkę. Sochana prześladowają kontuzje, a Spurs raz wygrywa, raz przegrywa.

O ile miejsce Jeremy’ego w reprezentacji Polski jest naturalne (choć mógł wybierać również między brytyjską i amerykańską), o tyle A.J. Slaughter jest Polakiem naturalizowanym. Ani on, ani jego rodzice nie urodzili się między Bugiem a Odrą i Nysą Łużycką. Nie mówi po polsku. Nie wybrała go w draftcie żadna z drużyn NBA, jeśli więc chciał zostać zawodowym koszykarzem, musiał przenieść się ze swoimi marzeniami do Europy. Grał w klubach we Francji, w Grecji, Hiszpanii, we Włoszech. Był więc prawdziwym globtroterem, choć w słynnej rozrywkowej drużynie z Harlemu nie występował.



W 2014 r. Slaughter zaczął starać się o polskie obywatelstwo, a rok później mu je przyznano. Korzyść była obopólna. A.J. zyskał cenny paszport Unii Europejskiej, reprezentacja Polski – świetnego rzucającego obrońcę, a w zależności od potrzeb i rozgrywanego. Po meczu z Finlandią, w którym nasza drużyna w końcówce zaprzępała pewne zwycięstwo, co kosztowało ją udział w igrzyskach olimpijskich, rozgoryczony A.J. Slaughter (był bodaj najlepszy na parkiecie) stwierdził, że jego reprezentacyjna kariera się kończy. W koszulce z orzełkiem rozegrał 92 mecze, nie ma pewności, czy rozegra setny. Ponieważ liczy sobie 37 lat – co w sporcie nie oznacza wieku młodości – być może już dla nas nie zagra.

Dziewczyny dają radę

Teraz zajmijmy się paniami. W minioną niedzielę obejrzelśmy w hali w Sosnowcu mecz Polek z Belgijkami w ramach walki o finał Eurobasketu. Belgijki to mistrzyni Europy. W wyjazdowym meczu naszym zawodniczkom udało się je po zaciętym meczu pokonać. Zwycięstwo u siebie otworzyłoby Polkom prostą drogę do gry wśród najlepszych.

Mocno trzymałem kciuki za naszą reprezentację, bo obserwuję ją od jakiegoś czasu i widzę, jakie robi postępy, zwłaszcza pod kierunkiem słowackiego trenera Maroša Kováčíka, a później Karola Kowalewskiego. Niestety, choć przez cały mecz Polki prowadziły, w końcówce ich gra całkiem się załamała i przegrały. Żeby pojechać na Eurobasket, muszą w lutym wygrać z reprezentacją Litwy. Nie będzie łatwo.

W koszykach Polski znalazły się dwie naturalizowane Amerykanki: Marissa Kastanek i Stephanie Mavunga. Mavunga wywodzi się co prawda z Zimbabw, ale ma paszport amerykański, a teraz także polski.

Przepisy światowej federacji nie pozwalają, aby dwie naturalizowane koszykarki jednocześnie znajdowały się na parkiecie i Marissa Kastanek skupiła się na nowej olimpijskiej odmianie tej gry, czyli 3x3.

Stephanie Mavunga, zawodniczka hiszpańskiego klubu Valencia BC, to prawdziwa gwiazda europejskich parkietów – byłym jednak niesprawiedliwy wobec innych rodowitych Polek, gdybym napisał, że daleko odbiegają od jej umiejętności, ale z pośpiechu i nerwowości w grze. To jeszcze młoda zawodniczka, ma czas popracować nad tym – i na pewno poprawuje, bo jak sama mówi, wie, że koszykówka jest jej zawodem.

Lila (a właściwie Liliana) Banaszak nie ma słowiańskiej urody, choć jest najprawdziwszą rodowitą Polką. Urodziła się i wychowała w dawnej stolicy naszego państwa, w Gnieźnie. Po polsku mówi dużo płynniej i lepiej niż Jeremy Sochan. Jej ojciec pochodził z Konga, matka jest Polką.

Nieco rozczarowała mnie natomiast zawodniczka, której chciałem poświęcić trochę więcej miłych słów. Lila Banaszak była wyraźnie stremowana, popełniała błędy, które nie wynikały z braku umiejętności, ale z pośpiechu i nerwowości w grze. To jeszcze młoda zawodniczka, ma czas popracować nad tym – i na pewno poprawuje, bo jak sama mówi, wie, że koszykówka jest jej zawodem.

Lila (a właściwie Liliana) Banaszak nie ma słowiańskiej urody, choć jest najprawdziwszą rodowitą Polką. Urodziła się i wychowała w dawnej stolicy naszego państwa, w Gnieźnie. Po polsku mówi dużo płynniej i lepiej niż Jeremy Sochan. Jej ojciec pochodził z Konga, matka jest Polką.

Posłuchałem kilku wywiadów, których udzieliła Lila Banaszak. Ujęła mnie naturalnością, wdziękiem i tym, jak dobrze ma poukładane w głowie.

W jaki sposób z zupełnie niezwiązanego z koszykówką miasta doszła aż do reprezentacji Polski? Jak to często bywa, przez całkowity przypadek. Jej starsza, jak ją określiła, *kumpela* trenowała w małym miejscowym klubiku. Któregoś dnia Lila zawędrowała z nią do hali sportowej, a tam ani się spostrzegła, jak dała jej do rąk piłkę i kazali wrzucić do kosza. Szło jej dobrze, zwróciła na siebie uwagę ludzi znających się na rzeczy i z Gniezna trafiła do znanej Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Łomiankach pod Warszawą. Zdobyła mistrzostwo Polski dziewczynek do 14. roku życia. Wówczas zrozumiała, że nie ma już odwrotu. Musi zostać zawodową koszykarką.

Ukończyła szkołę – co nie znaczy, że przestała się uczyć, bo doskonale zdaje sobie sprawę, iż po sporcie także będzie trzeba coś robić. Obok treningów, wyjazdów i meczów, jeśli ktoś chce, znajduje na wszystko czas – tak brzmi dewiza życiowa 24-letniej koszykarki.

Po Szkole Mistrzostwa Sportowego trzeba było pójść dalej. Kariera Liliany rozwija się po prostu wzorowo. Najpierw był AZS Poznań, później najsilniejsza drużyna naszej ligi CCC Polkowice, z którą dwukrotnie zdobyła mistrzostwo Polski. Teraz dostała zaproszenie do Madrytu, do klubu Movistar Estudiantes w najlepszej lidze hiszpańskiej ACB. Trener David Gallego, który wysłał zaproszenie, określił Lilianę jako zawodniczkę, która da klubowi mobilność, wszechstronność i siłę fizyczną na boisku. Fajnie, że nie tylko ja w nią wierzę.

...

Na koniec, tradycyjnie, coś o sobie. W mojej dziennikarskiej karierze zdarzało mi się pisać teksty za innych, czasem nawet bardzo obszerne i ważne. Takiego kogoś w naszym zawodowym slangu nazywa się murzynem. Mogę więc powtórzyć za presem Ochódzkim, że w młodości byłem murzynem. Tyle że nie grałem w kosza.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski,
Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniewski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpas.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 13.11.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

– Dlaczego ostatnio ludzie w internecie nazywają cię Zającem, kochanie? – z amerykańskim akcentem zapytała męża Anne Appelbaum.

– Zając to... w największym skrócie... jak by to ująć... To nie jest obraźliwe – odpowiedział Radosław Sikorski.

– Czyżby? – westchnęła jego żona, uznając jednak, że nie warto ciągnąć tego wątku.

• • •

– Widzisz, kochanie, jak ludzie nazywają Sikorskiego? – spytał Rafał Trzaskowski, pokazując na ekran MacBooka.

– Jak? – Małgorzata, żona Trzaskowskiego, podniosła brwi.

– Zając – odparł Trzaskowski z dumą w głosie.

– To dobrze? Zajączki to miłutkie zwierzątka, prawda?

– Może i miłutkie, ale zając podczas biegu jest tym zawodnikiem, który mniej więcej w połowie dystansu się wycofuje.

– Dlaczego?

Trzaskowski nie miał pojęcia, ale nie mógł przeczyć się do tego przyznać.

– Najważniejsze, że ludzie myślą, że Zając w biegu, w którym obaj wystartowali, skazany jest na wycofanie – odpowiedział najbystrzej jak umiał.

– A jak o tobie mówią ludzie w internecie? – Trzaskowska nie zrezygnowała z zadawania niezbyt mądrych pytań.

– Brzydko czy ładnie?

– Najpierw brzydko.

– Dupiarz.

– A ładnie?

– Piękny Rafał. – Trzaskowski aż zachłysnął się dumą.

– Myślisz, kochanie, że w obecnych czasach Polska potrzebuje prezydenta, który jest albo piękny, albo dupiarz?

– Lepszy piękny dupiarz niż Zając z grzywką zczesaną na lewo – odparł po dość długim namyśle.

– U fryzjera mówi się inaczej. – Trzaskowska zacisnęła usta. – Że z Trumpem musi rozmawiać wojownik, a nie miękka... a nie ty.

– Na szczęście w prawyborach nie biorą udziału głupie baby z salonu fryzjerskiego, tylko ludzie, którzy znają się na polityce, a oni wybiorą mnie taką większością, że aż się boje.

– Ja bym się nie bała – rzekła Trzaskowska, a jej mąż zaczął się zastanawiać, co chciała przez to powiedzieć.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

JOANNA SENYSZYN ubolewa nad kondycją Ameryki, która wolała wybrać na prezydenta kryminalistę niż kobietę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA patrzy na Amerykę i ubolewa nad polską lewicą.

Senyszyn: – Nie tylko kryminalistę, ale też mizogina, rasistę, człowieka mściwego, nieodpowiedzialnego i nieprzewidywalnego, a w dodatku nieudolnego prezydenta, który w latach 2016–2020 nie poradził sobie ani z pandemią, ani z inflacją, ani z nielegalną imigracją...

Wołk-Łaniewska: – Ale umie rozmawiać z ludem prostym. Czego niestety libki nie potrafią...

– Nie mów „libki”, bo to obelżywe określenie liberałów, a w USA mianem liberałów określa się ludzi postępowych kulturowo, zwolenników praw kobiet, mniejszości, imigrantów, sprawiedliwości społecznej i gospodarki mieszanej pod względem sektorów... Czyli, w sumie, lewicę.

– Bernie Sanders bywa nazywany skrajnym liberałem, choć sam bardzo prosi, żeby go tak nie obrażać. U nas libki to wyznawcy Balcerowicza. Ale pod jednym względem oba typy libków mają coś wspólnego: nie rozumieją ludu i dość słabo skrywiają, że czują się lepsi. I dlatego przegrywają wybory, co zwycięstwo Trumpa wykazało szczególnie dobitnie.

– Demokraci uważali, że wybór takiego typu jest niemożliwy, więc go zlekceważyli i wystawili ledwo żyjącego Bidena. Choć zmiana kandydata demokratów wywołała początkowo entuzjazm i otworzyła portfele, teraz, po przegranej, zastanawiają się, czy rzeczywiście była to recepta na sukces, czy na klęskę, bo skoro Ameryka nie dojrzała do kobiecej prezydentury, prędzej mogła się udać reelekcja Bidena. Mają pretensje do George'a Clooneya, że nalegał na rezygnację Bidena.

– To jest absolutnie rozczulające. Kogoś trzeba skopać, a najlepiej, żeby to był celebryta, bo znany wróg jest lepszy od nieznanego. Wracając wszakże do Polski: mam nieodparte wrażenie, że u nas dzieje się to samo. Lewica radykalnie straciła z oczu prawa pracownicze, skupiła się na wojnie kulturowej. Nowa Lewica jest partią aborcji i związków partnerskich...

– Raczej partią niczego, bo nawet aborcję i związki partnerskie dali sobie odebrać przez Platformę. Została im tylko ministra, która nie może. Ale czyżbyś miała coś przeciwko prawom kobiet i gejów?

– Absolutnie nie, jestem wręcz entuzjastką aborcji, likwiduje wroga na wstępnym etapie. A związki gejowskie w ogóle go nie wytwarzają,

A NA CHOLERĘ
NAM JAKIEŚ ZWIĄZKI
PARTNERSKIE
!!!



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

więc też je wspieram. Ale kiedy sprowadzamy do tego dyskusję, klasa ludowa się od nas odwraca, bo ludzi bardziej interesuje, czy mają za co wysłać dzieci na kolonie...

– Masz całkowitą rację, ale widzę, że nagle dzieci pokochałaś.

– Wręcz przeciwnie, dlatego chcę je wysłać, jak najdalej się da. Najlepiej wszystkie, żeby latem w Warszawie była childfree zone. W tej sprawie moje życzenia są zbieżne z życzeniami ludu, który też chce, żeby dzieci miały szczęśliwe wakacje. Do tego dochodzi kwestia poprawności politycznej. Klasa ludowa zupełnie nie rozumie, dlaczego ma nie mówić „pedał” albo „murzyn”. Czytałam ciekawy reportaż w „New York Timesie”: „On nas rozumie” – powiedziała mi kobieta zajmująca się hodowlą bydła i uprawą siana w Smithton w Pensylwanii. Jak facet urodzony ze srebrną łyżeczką w paszczy,

z których
obie żyją

mieszkający w złotym penthousie nad Piątą Aleją może zrozumieć cokolwiek z życia tej kobiety? „On po prostu wie, o co nam chodzi” – wzruszyła ramionami. To, że Trump bez skrupowania posługuje się językiem rasizmu i mizoginii, jest na pewno elementem tego rozumienia.

– Lewicowa poprawność polityczna faktycznie odfrunęła w sfery niepojęte dla – jak to nazywasz – klasy ludowej, co zresztą też wynika z poprawności, bo kiedyś by się powiedziało: ludu pracującego miast i wsi. Tenże lud nie będzie mówił, że osoba nieheteronormatywna poszła do czarnoskórej osoby lekarskiej, a potem z receptą do osoby farmaceutycznej. Ja zresztą też nie.

– Choć brzmi to doskonale... Ale tak serio: ja nie domagam się, żeby ludzie lewicy mówili „pedał” i „murzyn”, żeby skomunikować się z ludem – ale pełne wyniosłości krzywienie się na tych, którzy tak mówią, też nie jest dobrym pomysłem. Przynajmniej jeśli chcemy jeszcze kiedykolwiek wygrać jakiejkolwiek wybory. A tymczasem w TVN24 słucham w kółko o „marszu narodowców”.

– A to nie był marsz narodowców?

– Niezależnie od tego, czy było tam 90 tys. ludzi, jak twierdzi prezydent Trzaskowski, czy 350 tys., jak donosi Telewizja Republika – nie mamy w Polsce tylu „narodowców”. Ja z ekscytacją oglądałam 11 listopada Republikę. Szczególnie podobał mi się powracający co parę minut napis „Wpłać teraz 50 zł na rozwój Republiki!”. Ale ważniejsze i informatywne były rozmówki z uczestnikami marszu. Oczywiście rozumiem, że reporterzy Republiki starannie unikali skinów ze swastą wydzierganą na łysinie – ale to nie było trudne, bo w tym dzikim tłumie takich skinów była garstka. Większość to prości ludzie z prowincji prezentujący taki dość naiwny, bezkrytyczny patriotyzm, niekoniecznie podsztyt agresywną ksenofobią. I jak ci ludzie słyszą, że są „narodowcami” – co ma jednak zdecydowanie negatywny wydźwięk – to się najeżają i wyklucza to wszelką dyskusję.

– Zmieniając temat: miałas mi opowiedzieć o „Konklawe”.

– Był to zorganizowany przez naszą ukochaną Koalicję Ateistyczną pokaz przedpremierowy, na którym cię godnie reprezentowałam.

– Mnie?

– Bo Darek Kędziora, znakomity szef Koalicji, liczył na to, że wystąpisz w panelu. Ale ponieważ nie dotarłaś do Warszawy, to musiał się zadowolić mną.

– I co powiedziałaś, mnie reprezentując?

– Że film mi się bardzo podoba, ale nie podoba mi się to, co mi robi w głowie.

– A co ci robi? Tylko nie spojleruj, bo ja jeszcze filmu nie widziałam i podejrzewam, że wielu Czytelników też nie...

– Bez spojlerowania będzie trudno, ale spróbuję. Otóż film opowiada – niespodzianka – o konklawe, które następuje do śmierci franciszkańskiego papieża. I jest tak dobrze opowiedziany i tak świetnie zagrany, że łapię się na tym, że kibicujesz Kościołowi kat., żeby sobie wybrał jak najlepszego papaję. A przecież intelektualnie wiemy, że im gorzej dla papizmu, tym lepiej dla świata i najlepiej by było, żeby kolejnym „następcą Piotra” został jakiś ultrakonserwatywny bufon z faszystowskimi poglądami. I jest w tym filmie taki właśnie kandydat, kard. Tedesco – ale jemu nie kibicujesz. To obrzydliwa manipulacja.

– A propos przyszłości papizmu: częstochowski biskup pomocniczy Antoni Długosz twierdzi, że prześladowanie księdza Olszewskiego, ksywa Salceson, wpłynęło na wzrost zainteresowania wstąpieniem do seminariów duchownych. To się nazywa spóźniony zapłon, bo teraz klechom ciężiej będzie doić Fundusz Sprawiedliwości. Za to budżet państwa podoją równo. W 2025 r. Fundusz Kościelny wyniesie 276 mln. I pomyśleć, że w 1990 r. wystarczały 2 mln.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI